

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów

Przedpłata
na pocztach tylko 1 markę
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na poczcie w oddziale II, t. 86.

Nadesłane

50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej nr. 38.
Telefon Nr. 295.

Ogłoszenia zwykłe

20 fen. od wiersza.

Uczmy dzieci po polsku!

Kto
jeszcze dotąd nie zaabonował
„PRACY“
niech to uczyni bezzwłocznie,
gdyż już największy czas do tego.

„Prace“

która zapisana jest w cenniku gazet pod
rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86)
najwygodniej zamówić na poczcie.

Wszyscy nowi abonenci otrzy-
mać mogą na żądanie jeszcze na
składzie od początku kwietnia w
komplecie znajdujące się numera
„Pracy“ i to bezpłatnie.

Życzliwych nam Czytelników
upraszamy o łaskawe poparcie na-
szego pisma w gronie przyjaciół i
znajomych, zachęcając ich do licznej
przedpłaty w interesie wspólnej
sprawy.

Każdy, kto tylko zażąda, otrzyma
bezpłatnie i franko kilka numerów
„Pracy“ na okaz.

JEDNOŚĆ.

Razem bracia! z dłonią dłoń,
Serce z sercem, dusza z duszą!...
W wspólnej pracy duch zapłonie
I zawady się pokruszą!
Bo jedności grube ściany,
Bo jedności twarde mury,
Bo jedności węzły święte,
Mają siły niepojęte!...

Razem bracia! kto całony
Kryje w sercu, żar w rozumie,
Kto uderza w zwątpień struny,
I słów wiary nie rozumie,
Ten porywy krnąbrnej woli
Niech w jedności koło wprzęga;
Może wyrwie go z niewoli
Gorzkich uczuć — ta potęga!
Bo jedności węzły święte,
Mają siły niepojęte.

W drodze naszej od kołyski
Do mogiły chwil nie wiele;
Życie chwytą nas w uściski —
Idźmyż razem przyjaciele!

W każdej dłoni moc olbrzyma,
Gdy się wszystkie złączą razem;
Tych rąk, które jedność trzyma,
Nie rozdzieli nikt żelazem!...
Bo jedności węzły święte,
Mają siły niepojęte!...

Orlik z Gniezna.

Prawo Polaków a szowinizm Niemców.

Niedawno to temu, jak pisma na-
sze i niemieckie rozniosły po świecie
wiadomość o procesie, którego tłem
były stosunki narodowościowe pod za-
borem pruskim. Jakiś podchmielony
Niemiec, wracając z uroczystości ju-
bilenuszowych, wśród których jak gę-
bka nasiąkł hasłami szowinizmu na-
rodowego, płynącego obecnie szerokim
strumieniem ze źródeł rządowych —
napastował na ulicy Polaków, krzy-
cząc: „Ihr Pollaken seid keine
Preussen, man kann euch hauen!“
(Was, Polaków, trzeba tłuc, boście
nie Prusacy!).

Przedziwne w swej naiwnej brutal-
ności zdanie to wypadaloby umieścić
jako napis u wrót tego wielkiego pan-
teonu, w którym historia umieści z
czasem wszystkie klasyczne okazy
szowinizmu, bezwzględności i brutal-
nego egoizmu ery Bismarka.

„Was Polaków tłuc trze-
ba po łbach, boście nie Pru-
sacy!“ — was można lżyć, was
można kopać jak psów, deptać można
wasze najświętsze ideały, naigrawać
się z waszych drogich pamiątek,
plwać na waszą przeszłość i odmawiać
wam lepszej przyszłości — oto do ja-
kich wyników przeszedł germanizacyj-
ny system.

Ależ ten Niemiec, pardon, Pru-
sak — był pijany — powiedzą —
zapewne, lecz to raczej powiększa niż

zmniejsza doniosłość słów jego. Ta
okoliczność, że był pijany, uwolnić go
może poczęści z osobistej odpowie-
dzialności, tem większa odpowiedzial-
ność jednak spada na te sfery, które
otoczyły go taką atmosferą zatrutą,
wśród której przejął się on wyziewa-
mi wyzuty z cywilizacji barba-
rzyńskich skłonności.

Krew się zagotować musiała w
każdym Polaku na widok tego bez-
względnego lżenia jego narodowości,
lecz obejrawszy się w koło siebie,
zestawiwszy tyle charakterystycznych
faktów, dziejących się w całym kra-
ju, czyż nie przyjdziemy do wniosku,
że ten pijany Niemiec w bezczelnej
naiwności swej wypowiedział tylko to,
co inni w czyn wielili i co myśmy
na własnej skórze poznali?

Niedawno jeszcze mieliśmy w ręk-
ku autentyczny list jednego z naszych
przyjaciół wśród polskiego ludu, a list
ten następujący zawierał ustęp:

„Każden rząd, który nami włada,
powinien szanować nasz język, naszą
narodowość i naszą wiarę. Najgor-
szem prześladowaniem jest prześlado-
wanie za narodowość: bo co ja je-
stem winien, że się urodził Pola-
kiem i chcę pozostać Polakiem? —
W żadnym prawie Boskiem, ani lu-
dzkiem nie napisano, że zbrodnia jest
być Polakiem, a tymczasem niejeden
złodziej dziś mniejszą odbierze karę
za to, że ukradł, niż Palak za to, że
jest Polakiem“.

Przytaczając ten list, nie chcemy
bynajmniej twierdzić, że to, co się
dzieje, że te wszystkie bezprawne roz-
wiązywania zebrań, szykanowanie pol-
skości na każdym kroku — że to
wszystko dzieje się z wiedzą i z wolą
wysokiego rządu — o nie; my wie-
my nawet, że w danym razie, gdy
wystąpienie posłów naszych to spo-



Cz. 47

Nasze położenie w Królestwie Polskiem

(Dokończenie.)

woduje, rząd gotów jest ukarać pod-
rzednego urzędnika policyjnego, jeźli-
by się takowy okazał winien — lecz
właśnie rząd powinien zwrócić uwagę
na to, jak niebezpiecznymi są coraz
częstsze dziś fakty, które lud nasz na
myśl wprowadzają, że jest on prze-
śladowany za to, że jest ludem pol-
skim, a nie niemieckim.

Pewna część społeczeństwa nie-
chętnie patrzy na rozbudzenie się
takiego poczucia narodowości w
naszym ludzie, bo z natury rzeczy —
biorąc źródło w obrażonej godno-
ści narodowej — nie może być ono
spokojne, a musi być niejako szowini-
styczne: widzimy zaś sami na Niem-
cach jak z narodu cywilizowanego mo-
że zrobić szowinizm półbarbarzyńców.

Powtarzamy na seryo, że wszel-
kie uszczuplanie praw narodowych,
zapewnionych konstytucją, przyczynia
się do gwałtownego rozbudzenia świa-
domości narodowej w naszym ludzie,
wolelibyśmy jednek widzieć u nas
powolną, ale spokojną pracę na polu
narodowym, bo takie gwałtowne bu-
dzenie ducha polskiego zapomocą śro-
dków przejętych od kultury wscho-
dniej, do przykrych a jednostronnych
może doprowadzić wyników.



Byt naszego społeczeństwa z powodu
zmienności systemów politycznych, wzglę-
dem nas stosowanych w tak często od-
mieniających się obracać fazach, że niepo-
dobną jest unormować ściśle programu,
któryby w poszczególnem zastosowaniu
odpowiadał po wieczne czasy danym wa-
runkom. Ponieważ więc konfiguracja po-
lityczna wewnątrz trzech zaborów
nie w naszym spoczywa ręku, przeto za-
wsze uciekać się musimy do prawd o gól-
nych, których żadne prądy polityczne
wzruszyć nie zdołają. Na tych prawdach
się opierając, badać powinniśmy bezustan-
nie każdoczesne stosunki, a to zawsze ze
stałą wytycznią idealnych i materyalnych
korzyści. Jednostronność bowiem czy to
idealizmu z zupełnem zaniedbaniem eko-
nomicznych potrzeb, czy też materyalizmu
z lekceważeniem idealnych postulatów
zawsze ujemnie oddziaływa na rozwój na-
rodowy społeczeństw.

Z powyższej prawdy wynika, że skoro
w Królestwie Polskiem rozluźniają się
nieco pęta kępujące rozwój naturalny,
należy z całą energią dążyć do zużytko-
wania pomyślniejszych warunków w ideal-
nym jednocześnie i materyalnym kierunku.
Na drodze idealnej, którą dążyć powinni
bracia nasi za kordonem, nie wystarczą
dla dopięcia celu same tylko narodowe
drogoskazy i narodowe znaki na przydrożu.
Zabłądzimy, jeżeli na te drogoskazy i znaki
padać nie będą promienie oświaty, a także
jeżeli nie będziemy baczili na zdobycze
ekonomiczne, jakie nam się następują,

a których do pokrzepienia siły wśród
drogi także przecież potrzeba. Otóż jeżeli
monarcha rosyjski pragnie się szczerze za-
jąć losem Polaków, niechże przedewszys-
tkiem do niego o światło wołają, ale o
takie prawdziwe, rzetelne, nie przymglone
ciemnymi szklami niesumiennych nauczy-
cieli-czynowników i niezabsorbowane w
najwyższych swoich promieniach rusyfika-
cyjną robotą. Niech wołają o gimnazya
liczne z prawidłową nauką, o zuiesienie
mąk rusyfikacyjnych, zabójczych często-
króć dla młodocianego umysłu, niech wo-
łają o szkoły dla ludu, o szkoły fachowe
jak najliczniejsze, chociażby przy większem
obciążeniu podatkowym Kongresówki, albo-
wem obciążeniu, nakład taki w tysięcz-
nym opłacić się musi procencie już w kilku
lat dziesiątkach. Dążąc w tym kierunku
chociażby wśród największych ofiar, bra-
cia w Królestwie Polskiem spełniałoby
tradycją szlachetnej ery przed sejmem
czteroletnim i niepotrzebowaliby się oba-
wiać, iż taki minister Tyzenhaus wyjdzie
o kiju żebaczym, a usiłowania jego pójdą
na marne.

Ale oprócz szkół inne jeszcze czyn-
niki oświaty należy powołać do życia,
albo też wzmocnić. Może się da stworzyć
środowiska wzajemnej oświaty i pomocy
w guście naszych Kółek włościańskich i
Towarzystw przemysłowych, może swoboda
dla odczytów pouczających z rozmaitych
dziedzin będzie większą, może byłby czas
zabrać się skrzętniej do gazet i wyda-
nictw ludowych, których powodzenie oczy-
wiście rość będzie w prostej proporcji
do urzeczywistnienia się postulatu ulepszeń
szkólnych.

Egzystencyi i przyszłemu rozwojowi
ekonomicznemu w Królestwa Polskiego

Przedruk wzbroniony.

Moja wycieczka do Berlina.

Dla »Pracy« opowiedział

Kamerton.



(Ciąg dalszy.)

Zaraz nazajutrz po moim wyjeździe,
w Warszawie nie było czem palić, a ja
sobie jechałem ogrzanym wagonem; w po-
rządym futrze, w ciepłych berlaczach,
i drwilem sobie ze wszystkich, którzy
pozostali, skazując się dobrowolnie na
dzwonienie zębami. Łatwo się domyśleć,
żem nie miał żadnego towarzysza, ani za-
danej towarzyszki podróży. Któżby się to
wybierał w drogę na takie zimno?...

Nie mając towarzyszków, ani towarzy-
szek, byłem pewny, że mi się żadna w dro-
dze nie przytrafi przygoda, więc ułoży-
wszy się najwygodniej w prościutkim wa-
gonie, poleciłem całosć mych członków
opiece bożka Morfeusza i snem sprawie-
dliwego Lota, opuszczając siarczystym...
mrozem nawiedzone rodzinne miasto, za-
snąłem.

A nad tym chwiejącym się lekko
na obie strony wagonem, muzy śpiewały:

Luli, luli Kamertonie,
Spij spokojnie, spij w wagonie,
Gdy do snu masz chęć.
Bardzo świeże tu powietrze,
Zwłaszcza kiedy w termometrze
Już zamarza rtęć.

Ilem godzin tak spał to nie wiem.

Należałoby o to spytać konduktora, lub
obliczyć podług rozkładu jazdy, dosyć że
z rana, gdy jeszcze było ciemno, stanę-
liśmy w Aleksandrowie.

— Wasz paszport? — zapytano uświę-
conym obyczajem. Obudziłem się, prze-
tarłem oczy, podumawszy chwilę przypo-
mniałem sobie gdzie jestem, sięgnąłem do
torebki podróźnej i żądany dokument, ma-
jący jak wiadomo format książeczki w ma-
łej ósemce, zapytającemu oddałem.

Dopełniwszy tej formalności, nąglony
przez Morfeusza, który widać uważał, że
coś jeszcze jemu odemnie się należy, uło-
żyłem się na drugi bok, to jest głową
w stronę przeciwnych drzwiczek na tej
samej ławce i zasnąłem znowu. I znow
nie wiem jak długom spał. Obudziło mnie
szarpnięcie tak silne, że się domyśliłem,
iż musi być przynajmniej piątem z rzędu,
i zapytanie:

— Hej wy!

— A co tam, zapytałem ziewając.

— Ile wy macie lat?

— Nie wiem, bo od wyjazdu nie li-
czyłem, a nie mogę się jeszcze zoryento-
wać, jak dawno wyjechałem.

— Co tam gadacie!... macie szesna-
ście lat.

— Szesnaście naturalnie mam, i dru-
gie szesnaście i trzecie...

— A w paszporcie u was jest tylko
szesnaście!

— Tylko szesnaście? — powtórzyłem
zdziwiony. — Więc reszta musi być gdzie-
indziej.

— Co wy gadacie?... chodźcie do
kancelaryi.

Poszedłem. Byłem sam trochę zanie-
pokojony, gdzie mi się moje lata podziały.

W kancelaryi się rzecz wyjaśniła.
Zamiast mego paszportu, oddałem paszport
mego brata stryjecznego Sylwusia, a że już
w pośpiechu przyłożono na nim pieczętkę,
więc paszport został zepsuty i trzeba było
odesłać go do Warszawy, ażeby kochana
stryjenka postarała się o nowy z nową
do przesłania okazyją.

Załatwiwszy konieczne formalności,
wsiadłem do wagonu napowrót i pojecha-
łem dalej.

Spać już nie mogłem, przygoda pa-
szportowa odebrała mi sen zupełnie.

Wyjeżdżając z Warszawy dałem so-
bie słowo, że żadnej nieostrożności nie
popelnię, i oto nie wyjechałszy jeszcze
za granicę, naraziłem stryjenkę na taką
przykrość. Nie mogłem sobie tego da-
rować.

Wkrótce potem około ósmej rano sta-
nęliśmy w Toruniu i zaraz pojechaliśmy
dalej.

Od tej stacyi z zadowoleniem spo-
strzegłem, że pociąg, którym jechałem, był
sznelcugiem. Spieszył się wprawdzie po
niemiecku, to jest powoli, jak wszystko,
co się spieszy w Niemczech, (np. zmiana
praw o stowarzyszeniach) — ale się spie-
szył. Towarzyszków, ani towarzyszek po-
dróży nie było ciągle, byłem sam jak pu-
stelnik, cieszyłem się z tego, gdyż zabez-
pieczało mnie to od wszelkich przygód.

Około trzech kwadransów na jedenastą
stanęliśmy na jakiejś większej stacyi, na-
zwiska jej nie usłyszałem, ale zrozumiałem
dokładnie wołanie:

sprzysiężają szanse o wiele pomyślniejsze niż nam Wielkopolanom. Królestwo jest wielkim etapem w cywilizacyjnym pochodzie przemysłowej zachodniej; całe obszary zbytu dla wytworzości stoją ku wschodowi otworem, a ten wschód znów, jeszcze nie wykorzystany i pełen bogactw, coraz nowe otwiera szanse dla rozwoju sił materialnych Rosji i Królestwa Polskiego. Od zużycia należytego niezmiernych tych szans na korzyść ekonomicznego spotęgowania się zależy w znacznej części przyszłość nasza. Królestwo powinno podjąć walkę konkurencyjną pod względem przemysłowej wszelkiej i zachodem w interesie Polaków i Rosjan jednocześnie a pamiętać o tem, że dotąd wielkie przemysłowe przedsiębiorstwa tej dzielnicy w bardzo znacznej części są złowrogiej nam ręki dziełem, ręki skorej po zdobywaniu polskich pieniędzy i chowania ich do kieszeni dla innej ojczyzny, ręki, która się od lat tyśiąca raz wraz przeciwko słowiańszczyźnie w pięść zaciśnięta podnosi...

Nie można i nie potrzeba nawet specjalizować organizacji społecznej, jaka się w miarę odmiany stosunków dla braci naszych w Kongresówce programowo zarządza, a to tym mniej, że oni, osobliwie zaś warszawiacy, składają w bieżącej dobie dowody, iż interesy narodowe pojmują i niebezpieczeństw, grożących nie tylko ich bytowi ekonomicznemu ale także naszemu w Wielkopolsce, nie spuszczają z oka. Wiadomo, iż obserwacja położenia naszego osobliwie zaś roboty hakatystów przywiodła ich do przeświadczenia, że trzeba w odwecie wypowiedzieć walkę i zadawać dotkliwie klęski przemysłowi niemieckiemu. Codziennie nadchodzą wieści, iż znaczne firmy w Królestwie Polskiem przy-

wały zupełnie stosunki z przedsiębiorstwami niemieckimi, że przygotowują się kampanie konkurencyjne przeciwko wytworzości niemieckiej i że liczne firmy tylko pod tym warunkiem na czas niejaki zatrzymać gotowe stosunek z Niemcami, jeśli korespondencyja odbywać się będzie w języku polskim. Wszystko to świadczy jak najwymowniej, że nauka ks. Bismarcka i hakatystów nie poszła do białowiejskiej puszczy, ale że rozświetla horyzont zachodni kongresowiakom, że rozumieją „den Racenkampf“ i że broń zawsze jeszcze silną w walce za siebie i za nas znaleźć potrafią. Walkę tę niech ciągle przypominają hakatysty, kongresowiacy niech o niej pamiętają!



Przedruk bez podania źródła wzbroniony.

Przyczyny upadku rzemiosł.

Częstokroć spotkać się dziś można z twierdzeniem, że wobec niezwyklego rozwoju środków technicznych, zastępujących pracę ręczną, rzemiosłom coraz bardziej usuwa się grunt z pod nóg — i że przyszłość ich jest tak dobre jak żadna. Zdanie takie głosi z profesorską powagą przedewszystkiem socjalna demokracja.

Jak wiele innych dogmatów socjalnej demokracji, zdanie to polega na zbyt jednostronnem zapatrywaniu się na kwestję konkurencyjności pracy ręcznej z maszynową i na zbyt pochopnem uogólnianiu spostrzeżeń.

W rzeczy samej faktem jest, że niektóre gałęzie rzemiosł zniknąć musiały i zniknęły pod naciskiem konkurencyjności z produkcją fabryczną, — lecz los taki

spotkać mógł jedynie te gałęzie przemysłu, które z natury swej nie wymagały od rzemieślnika pewnego smaku artystycznego i pewnej samodzielności w wykonaniu, na jaką maszyna zdobyć się nie może.

Te zajęcia zaś, które wymagają od rzemieślnika pewnych kwalifikacji do wykonania, pewnej myśli i przystosowania się do różnorodnych życzeń i smaku — te zawody rzemieślnicze zwycięsko oparły się konkurencyjności pracy fabrycznej pomimo wręcz nieprzychylnych warunków zewnętrznych, mających wpływ na położenie rzemieślnika.

Produkcyja maszynowa fabryczna wyższość ma nad wyrobami ręcznymi tylko w takich razach, gdy wyrób nie tylko może, ale powinien odznaczać się pewną jednostajnością wykonania i gdzie zaś potrzeba jest pewnych zmian w wykonaniu, tam praca ręczna wyższość mieć nawet może nad fabryczną. Widzimy więc z tego, że ogólnie dziś będąca w użyciu formułka, jakoby konkurencyja fabryczna rujnowała rzemieślnika, nie jest w zupełności uzasadnioną, a co najmniej — stosować jej nie można do rzemiosł wogóle, chyba do poszczególnych gałęzi.

Tak na przykład, nieda zaprzeczyć się, że wielki przemysł fabryczny spowodował upadek zajęć rzemieślniczych w wyrobach tkackich, w wyrobie guzików, igieł i t. d. Fabrykacyja na wielką skalę prześcignęła w tych gałęziach przemysłu najlepszą pracę majstra rzemieślniczego.

Tymczasem np. w szewstwie system fabryczny przechodzi obecnie ciężkie przesilenie. Częstokroć już wykazały odnośne badania specjalne, że majster szewski, który rozporządza dostatecznym kapitałem i jest w stanie wyrobić sobie

— Zwanzig Minuten Aufenthalt!

Z dwudziestu minut można było korzystać. Postanowiłem napić się kawy.

Wszedłem do restauracyi na dworcu.

Przy stoliku, za którym usiadłem, siedziało kilku panów.

— Jak się ta stacya nazywa? — zapytałem ich.

— Pila! — odpowiedzieli.

Zajrzałem do telegrafu Hentschla, który miałem przy sobie. Nie ma tam żadnej wzmianki o stacyi tego nazwiska. Zapewne to jakaś nowo otworzona stacya. Wypiłem kawę i nim dziesięć minut upłynęło, wierny danemu sobie słowu powstałem, aby powrócić do wagonu. Odchodząc jednak zapytałem się jeszcze owych panów, którzy przy jednym ze mną stoliku siedzieli:

— Czy można tu będzie gdzie zjeść obiad po drodze do Berlina?

— Naturalnie, można tutaj.

— Ale kiedy tutaj zawczesnie.

— No, to chyba w Krzyżu.

— A kiedy będę w Krzyżu?

— Około pierwszej.

— Tylko, że tu w telegrafie — odpowiedziałem — nie ma żadnego Krzyża.

— Bo Krzyż to po niemiecku „Kreuz“.

— Acha! dziękuję panom... „Kreuz“.

Rzeczywiście było w telegrafie napisane, że o godzinie 1 minut 1, pociąg przybywa do Kreuz.

Wsiadłem do wagonu, lokomotywa świsnęła, pojechaliśmy. Jako sumienny historyograf mojej wycieczki dodać tu muszę, że i w Pile nikt się do mnie nie przysiadł. Podróżowałem sam jak palec,

ale było mi ciepło, sto razy cieplej, niż Warszawiakom, którzy podówczas pozbawieni węgla, dzwonić musieli zębami. Bodaj to akuratność niemiecka! Podczas mrozów, jak wiadomo, wszystkie ciała się kurczą, skurczyć się więc musiała i droga z Pily do Krzyża, można zatem było przebyć ją prędzej, mimo to pociąg przybył najpóźniej o godzinie 1 minut 1. Nawet tej jednej minuty nie darował.

A wołałbym, żeby się był pospieszył, bo apetyt po kawie w Pile dokuczał mi w sposób okropny.

Zapewniony, że w Krzyżu, czy tam Kreuz mogę zjeść obiad, nie słuchałem, że konduktor wołał: „Sieben Minuten“, lecz zabrawszy swe podręczne tobołki, pobiegłem do restauracyi. Zaledwie usiadłem za stołem i wziąłem jadłospis do ręki, ażeby wybrać, czem się mam posilić, dał się słyszeć dzwonek i kilku podróżnych wybiegło spieszenie na peron. Ani mi przez myśl nie przeszło, że pociąg, który odjeżdżał, może być moim. Powiedziano mi w Pile, że tutaj mogę zjeść obiad, więc byłem pewny, że na to będzie czas i najspokojniej kazałem sobie podawać wybrane w jadłospisie potrawy.

Uczta moja trwała z godzinę.

Muszę tu oddać sprawiedliwość kuchni w Krzyżu, że jest dla ludzi wygłodzonych wyborna.

Było już dobrze po drugiej, gdy wszedł do sali portyer i zaczął wywoływać podróżnych, żeby wsiadali do wagonów. Wołając, wymienił jakieś tam stacye, ja jednak na to nie uważałem, bom był zajęty płaceniem rachunku. Złatwiwszy

się z rachunkiem, wybiegłem z sali jak najspieszniej, pamiętny postanowienia, że będę unikał wszelkich przygód po drodze, przedewszystkiem opóźnień. Wskoczyłem do wagonu, zatrzasnąłem za sobą drzwiczki, byłem znów sam. Widocznie cała ludzkość obawiała się podróżować owego dnia, wstawionego mrozem siarczystym.

Pociąg ruszył, zaledwie jednak ujechał parę staj, w drzwiach wagonu ukazał się konduktor i spojrzał na mnie zdziwiony.

— Wo kommen Sie denn her? — zapytał.

Przyznam się państwu, że jakkolwiek jestem biegłym w niemieczyźnie, biegłość moja jednak tak daleko nie sięga, ażebym mógł rozróżnić, czy jakiś tam konduktor wymawia „her“ przez małe, czy przez wielkie h na początku i przez jedno, czy przez dwa r na końcu zapytania, to zatem zabrzmiało w moich uszach jak:

— Wo kommen Sie denn Herr?

— Berlin — odpowiedziałem lakonicznie.

— Von Berlin — powtórzył konduktor — ach! ich erinnere mich, Sie fuhren wohl in den anderen Wagen. Nie wiele mnie to obchodziło, czy konduktor przypominał sobie, czy nie, żem jechał innym wagonem, ale skoro sobie przypomniał, więc i ja widząc, że rzeczywiście wsiadłem do innego wagonu, nie uważałem za zbyt uciążliwe potwierdzić:

— Ja wohl, in dem anderen.

Konduktor nie zażądał okazania biletu i poczęstowany przezemnie wybournym cygarem, jednym z dziewięciu, jakie mi

wystarczające warunki zbytu, może zwycięsko konkurować z fabrykacją maszynową. Potrzeba jednak niezbędnie, aby rzemieślnik otwierając warsztat miał:

- 1) dostateczny kapitał,
- 2) dostateczne wykształcanie w rachunkowości,
- 3) dostateczną znajomość warunków decydujących o powodzeniu, jakoto: znajomość rynku zbytu i umiejętność czynienia zakupów. — Gdy tych przymiotów mu braknie, nie pomoże żadna, choćby najwytrwalsza praca, w dzisiejszych bowiem warunkach każdy, czy kupiec, czy rzemieślnik lub przemysłowiec musi być przedsiębiorcą, musi mieć przedsiębiorczego ducha.

Zbyt często — na nieszczęście — widzimy ruinę samodzielnych majstrów rzemieślniczych tylko z powodu, że brak im tej najniezbędniejszej w walce o byt zalety — przedsiębiorczości.

Nieprawdą jest, że kapitalistyczna produkcja maszynowa prowadzi rzemiosło do upadku; w tych bowiem razach, gdy chodzi o gust w wykonaniu, gdy każdy przedmiot dopasowanym być musi do życzenia kupującego — w tych razach produkcja maszynowa fabryczna nie może być niebezpieczną dla rzemiosła i nigdy im utratą bytu zagrażać nie będzie. Brak zaradności raczej, brak trafnego obliczania dochodu z przychodem, brak znajomości warunków kredytu — oto są powody upadku rzemiosła.

Podczas gdy świat cały, wszystkie warstwy społeczne uczyniły w przeciągu lat dziesiątka ważny krok naprzód w cywilizacji, podczas gdy wszystkie one szły z postępem wiedzy, rzemieślniczy tylko warsztat pozostał dla postępu niedostę-

pnym. Niezawsze wszystko jest dobre, co idzie „po staremu“; — często błędne zapatrywanie także zgubne mieć może następstwo. *Rzemieślnikowi potrzeba większego wykształcenia, oto jaki wniosek zrobić można na podstawie uważnej obserwacji dzisiejszego stanu rzemiosła.*

K. R...ski.

POLITYKA.

Oczy Europy są w obecnej chwili zwrócone na Berlin i prawo o stowarzyszeniach. Nie dlatego bynajmniej, że prawo to jest tak ważne samo w sobie — bo gdyby nie znana — jak by to powiedzieć? — nie samola — powiedzmy — akuratność polityki pruskiej, to samo prawo byłoby nieszkodliwym, jak brzytwa w pudełku. Projekt do prawa o stowarzyszeniach jest jednak o tyle doniosłym i ważnym, że zapowiada on radykalny zwrot wstecz, ku ideałom junkierstwa pruskiego.

Sejm odrzucił wniosek rządowy, a przyjął wniosek komisji, poczęści zbliżony do rządowego. — Obecnie projekt ten zatwierdzony przez sejm oddany został izbie panów pod rozpatrzenie, zanim stanie się prawem zobowiązującym. Prawdopodobnie izba panów przywróci dawny wniosek rządu, a więc tymczasem wszystko w zawieszeniu.

Wspaniałem było posiedzenie sejmku, na którym rozstrzygnąć się miały losy ustawy.

Posel *Richter* znów wygłosił mowę przeciw rządowi. Dowodził on, że sposób, w jaki ustawa ma przyjść do skutku, nie

zgadza się z przepisami konstytucji. Następnie ostro krytykował niezdecydowane stanowisko rządu. Co dzisiaj wogóle znaczy rząd? Notoryczną jest rzeczą, że w łonie rządu przygotowują się zmiany. Można o tem czytać we wszystkich pismach rządowych. Wczoraj dowiedzieliśmy się z *Nordd. Allg. Zty.*, że książę Hohenlohe nie chce zostać na wysługach u p. Miquela. W parlamencie Bötticher bronił pruskiego projektu, o ile go wogóle można było bronić. Jego obrona była ocale niebo zręczniejszą od obrony p. v. d. Recke, która była tak niefortunna, że gdyby lewica była jeszcze się wahała, to mowa p. Reckego musiałaby być ją popchnąć do opozycji. A jednak słyszymy, że p. Bötticher musi wziąć dymisyę z powodu swej obrony projektu. Kto jest rządem? Mężem przyszłości, wiceprezesem pruskiego ministerstwa stanu ma być p. Miquel — cóż on myśli o projekcie? Tego nie wiemy; o nim można powiedzieć, jak o Wallensteinie: W co ten wierzy, tego nikt nie wie. (Wielka wesołość!) Nie znamy jego serca i żywa dusza nie wie, co on chowa w zanadrzu. Gdybyśmy żyli w prawdziwie konstytucyjnych stosunkach, to rząd odroczyłby sejm w czasie dokonywających się zmian. Ale u nas tak rzeczy stoją, że poprostu co nie znajduje się w aktach, to nie istnieje na świecie. Najprostszą rzeczą byłoby zastosować artykuł konstytucji i zaprosić p. Miquela, aby usłyszeć, co on o tej sprawie myśli. Nie chodzi bowiem o to, czy się ma zaufanie do obecnego rządu czerwcowego, trzeba także wiedzieć, kim będzie rząd lipcowy (wielka wesołość), albo rząd jesienny. W prasie Miquelowskiej wyczytałem, że wraz z liśćmi jesiennymi upadnie

pozwolono przewieźć przez granicę pruską odszedł. Zostałem sam i zacząłem wyglądać przez okno parowozu. Na żaden sposób nie mogłem pojąć, skąd ja mogę znać okolice, przez którą przejeżdżamy.

Wspomnienie jej było tak świeże w mojej pamięci, jakbym ją widział nie dawniej, jak przed kilkoma godzinami.

— A może pociąg wraca? — przyszło mi na myśl.

Odrzuć jednak odpędziłem tę myśl.

— Gdyby to był pociąg idący z powrotem do Torunia, a nie do Berlina — rzekłem do siebie — to przecież konduktor nie pozwoliłby mi tu zostać.

Uspokojony tą uwagą, zaprzestałem obserwacji przez zamrożoną i odchuchaną szybę i oddałem się marzeniom.

Marzenia moje, jak to zwykle bywa w podróży, snuły się około tej milej nadziei, że za kilka godzin, jeszcze przed piątą, jak obiecywał telegraf Hentschla, stanę u kresu mojej wycieczki, że tam w Central hotelu, położonym najbliżej dworca Friedrichstrasse oczekiwać mnie będzie Sylwus, którego o moim przyjeździe zawiadomiłem telegraficznie, że tegoż dnia jeszcze wieczór spędzę w którym z teatrów berlińskich na jakim zachwycającym widowisku, a nazajutrz życie moje pełne będzie powabów i słodczy, słowem, że mam przed sobą kilka lub kilkanaście dni uroczej przyszłości, pełnej przyjemnych rozrywek. Od wpół do piątej ciągle spoglądałem na zegarek. O godzinie 4 minut 50, gdy ściemniło się już zupełnie, o trzy

minuty wcześniej, niż zapowiadał telegraf Hentschla, pociąg zatrzymał się.

Wyskoczyłem z wagonu najpierwszy — jak mi to się zwykle przytrafia, gdy nikt inny ze mną nie jedzie — i pobiegłem do restauracji, aby stanawszy na gruncie berlińskim, pokrzepić się pierwszym kieliszkiem ulubionego w tej stolicy kordyału, który się nazywa „Halb & Halb“, a jest sobie zwyczajną, raczej lichszą trochę od zwyczajnej pomarańczówką.

Gdy wszedł do restauracji zdumienie moje nie znało granic.

Pomimo kawy w Pile i obiadu w Krzyżu, mogę szanownym czytelnikom zaręczyć, że byłem trzeźwy, jak gdybym równocześnie z dniem urodzenia zapisany został do towarzystwa wstrzemięźliwości i przez całe życie najskrupulatniej jego statutów słuchał.

Com mógł wypić, wywietrzało na straszny mrozie, a jednakże w tej chwili sam zacząłem się obawiać, czym przypadkiem nie przebrał miary.

Wyobraźcie sobie państwo, że restauracja kolejowa, do której wszedłem, a którą bratem za berlińską, była kubek w kubek, poła w połę, kropka w kropkę podobna do tej, w której z rana o jedenastej piłem kawę. Takie same pasowe obicia, taki sam rozkład stołów, też same nakrycia, ta sama zywota panna za bufetem!

Skamieniałem.

Pocóż jeździć do Berlina, jeżeli Berlin jest tylko fotografią jakiejś tam Pily?...

Ale może to nie Berlin, przyszło mi na myśl.

Zbliżyłem się do tego samego stolika, przy którym z rana piłem kawę. Siedziało przy nim podobnie trzech panów, ale przyjrawszy się im bliżej, przekonałem się, że nie byli ci sami.

— Wie heisst die Station hier?

— Schneidemühl — odpowiedzieli.

Schneidemühl zatem nie Pila, ani Berlin, pomyślałem sobie — widocznie po drodze do Berlina są dwie stacje, jednakowe zupełnie, z których jedna nazywa się Pila, a druga Schneidemühl. Ta ostatnia musi już leżeć niedaleko Berlina, z czego wynika, że mój pociąg, który tak punktualnie przybył do Krzyża, spóźni się porządnie do Berlina.

Rozgniewało mnie to okropnie. Sylwus będzie czekał i nudził się w hotelu.

Potrzebowałem się ochłodzić. Zamiast Halb und Halb kazałem sobie podać piwa, a że było dobre i pragnienie mi dokuczalo, więc wypilem duszkiem kufel jeden, drugi, a potem trzeci.

Mogłem to uczynić z całą swobodą, albowiem przystanek w Schneidemühl trwał aż trzy kwadransy, a mnie dziwiło i gniewało, ponieważ jechałem pociągiem pospiesznym, ale w końcu powiedziałem sobie, że na kolejach niemieckich nie jest to jeszcze rzeczą tak bardzo zadziwiającą i cierpliwie czekałem odjazdu.

Nareszcie dał się słyszeć dzwonek. Pobiegłem do wagonu, w którym jak zawsze w ciągu tego dnia, nie było nikogo, i pociąg ruszył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Najlepsze gilzy do papierosów są: z mechanicznej fabryki gilz „Szeliga“ S. Zychlińskiego w Poznaniu Plac Wilhelmowski Nr. 0

także p. v. d. Recke. Wobec takich stosunków, kiedy nikt nie zna przyszłości rządu, tem bardziej nie należałoby się podejmować zmiany konstytucji. P. minister spraw wewnętrznych powiedział, że opinia ludności stoi po jego stronie i przepowiadał lewicy i narodowym liberalom, że wyborcy się z nimi rozprawią. Minęły trzy tygodnie, odbyły się wybory uzupełniające, a nikt nawet nie śmiał postawić kandydata, któryby był zwolennikiem ustawy o stowarzyszeniach.

O moich zaczepkach mówi p. minister Recke, że go to nie obchodzi. To samo powtarzali już tyle razy inni ministrowie. Tak długo ich to nie obchodziło, aż... sobie poszli.

Widziałem ja tam siedzących wielu panów, którzy byli jeszcze pewniejsi siebie i w wyższe jeszcze uderzali tony i byli co do swej kwalifikacji bardziej do tego uprawnieni, a gdzie są oni teraz? Imię ich przebrzmiało, ponieważ mieli tylko to znaczenie, jakie im nadawał urząd. To, co mówiłem, jest opinią szerokich kół w kraju, aż do konserwatystów samych. Byłem zdumiony echem, jakie właśnie ta mowa znalazła w kraju. Bez steru nazywam rząd, który nie uwzględni uchwał większości parlamentu i sejmu. Dokąd to prowadzi? Albo do smutnej porażki, albo do próby urzędzenia zamachu stanu. Chcecie panowie może tego? W innych krajach dokonują się zmiany w rządzie w inny sposób. Kierujący minister podaje się do dymisji, a z nim inni ministrowie. U nas następują zmiany w tem lub owem ministerstwie, a inni ministrowie pozostają spokojnie dalej w urzędzie, jak gdyby nic zgoła nie zaszło. Dotychczas minister odbierał po prostu wizytę pana Lucanusa,

teraz zmiany zapowiada się całe miesiące naprzód. To nie jest polityczna konstelacja, tylko polityczna konfuzya!"

Ta scharakteryzowana przez Richtera konfuzya rządu sięga istotnie tak daleko, że dziś nie wiadomo już wcale, jakie właściwie zmiany nastąpią. Prawo ostowarzyszeniach jest usiłowaniem stłumienia opinii publicznej, jest dążeniem do nałożenia cugli na najświętsze wolności obywatelskie. I dla tego też uważam jest ono za pierwszy krok dopiero całej kampanii, która stopniowo doprowadzić ma do cenzury prasowej i odpowiadającego temu zmodyfikowania konstytucji. Lecz nie uprzedzamy wypadków.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom, głosowanie nad projektem do prawa o stowarzyszeniach nie skończyło się jego odrzuceniem, lecz przyjęciem. Stronnictwo narodowo-liberalnych nie mogło zdecydować się na to, aby zaoponować rządowi bezwzględnie.

Przesilenie rządowe w Niemczech poczyna przybierać wyraźniejsze kształty. Pierwszą zmianą osobistą jest powołanie admirała Tirpitz na następcę dotychczasowego sekretarza marynarki Hollmana; drugą ważniejszą przewidywać można z faktu, że ambasador niemiecki przy Kwirynale, Bernard Bülow, wezwany został na dwór cesarski, jako zastępca przebywającego na urlopie sekretarza stanu bar. Marschalla. Wiadomość tę podała pierwsza *Nordd. Allg. Ztg.* w tej formie: „Ambasador Bülow odjeżdża z Rzymu i udaje się na dwór cesarski. Nie będzie błędem przypuszczenie, że podróż ta jest w związku ze stanem zdrowia bar. Marschalla“. Znaczy to prawdopodobnie, że bar. Marschall otrzyma dymisyę, a stano-

wisko jego zajmie Bülow; nie odwołuje się bowiem zazwyczaj ambasadora na zastępstwo sekretarza stanu, które z urzędu pełnić powinien podsekretarz stanu.

Gdy tak chwieją się na wszystkie strony ławy ministeryalne, gdy rząd, jak statek bez steru i sternika lada chwila na rafę podwodną uderzyć może, — w jednym tylko zachował on konsekwencyę — w przyjętej wobec Polaków polityce. A pomimo że ona pozostała niezmienna, chcieliby niektórzy politycy, co im widać tęskno bez ugody z rządem i bez kłania się rządowi — chcieliby znów wzbudzić u nas wrażenie, że przygotowuje się jakiś pomyslny zwrot dla nas. Psst... szepczą: „Kancelarz poczęstował tabaką naszego posła X. Y. — to zapewne ma wielkie znaczenie! zbliża się chwila ugody! Nie drażnijcie rządu...“ Na szczęście już nasze społeczeństwo wyszło z pieluch, nasz lud już wie, co znaczy ugoda i przywykł już patrzeć na takową — z góry

PRZEGLĄD PRASY.

Jak wiadomo ogłoszoną została w pismach, wychodzących w zaborze pruskim odezwa, która wzywa kupców i przemysłowców polskich, a nawet wszystkich ludzi dobrej woli na naradę, odbyć się mającą dnia 4-go lipca r. b. w Toruniu. Odezwa okryta jest paruset nazwiskami polskich przemysłowców z Torunia, Gdańska, Starogrodu, Gniezna, Brodnicy, Grudzędza, Swiecia, Chelмна, Kościerzyny, Czerska, Wąbrzeźnia, Pelplina, Tucholi,

(Przedruk bez podania źródła wzbroniony.)

Humor i dowcipy Imci pana Zagłoby.

(Wypiski z trylogii Sienkiewicza.)

Dla „Pracy“ przez Iżę T.

Ogniem i mieczem.

(Ciąg dalszy.)

— Lepiej ci? — spytał Zagłoba. Bohun chciał przemówić i nie mógł. — Nie możesz mówić? Bohun poruszył głową na znak, że nie może. — To i krzyżeć byś nie mógł? Bohun oczyma tylko dał znać, że nie. — Ani się ruszyć? Ten sam znak. — To i lepiej, bo nie będziesz ani mówił, ani krzychał, ani się ruszał, a ja tymczasem z kniaziówną do Lubniów pojedę. Jeśli ci jej nie zdmuchnę, to się pozwolę starej babie w żarnach na osypkę zemleć..... Czegóż ślepie wytrzeszczasz, jak kot na sperkę? Czy myślisz, że tego nie uczynię? Może się każesz pokłonić komu w Lubniach? Może cyrulika ci ztamtąd przysłać, a może mistrza u księcia pana zamówić?..... Nie krzych, bo ci to zaszkodzi. Mogłaby cię jutro głowa rozboleć, przeto, jako dobry przyjaciel mam o tobie staranie. Tak, tak, będzie ci i ciepło i zaśniesz smacznie i gardła nie przekrzychezysz. Abyś zaś opatrunku nie zdarł, to ci ręce zwiążę, a wszystko per amicitiam, abyś mnie wspominał wdzięcznie.Choremu przystoi leżeć spokojnie, aby mu humory do głowy

nie bily, od czego delirium przychodzi. No, bądź zdrów; mógłbym cię nożem pchnąć, co może byłoby z lepszym moim pożytkiem, ale mi wstyd po chłopku mordować. Co innego, jeśli się zatkniesz do rana, bo to się już nie jednej świni przygodziło. Bądź-że zdrów. Vale, et me amantem redema. Może się spotkamy kiedy, ale jeśli ja się będę o to starał, to niech mnie ze skóry obedną i podogonia z niej porobią.

— Pozwól-że mi się waćpanna przy dniu obejrzyć. Ho, ho! czy to po braciach ubranie? Nie ma co mówić, bardzo foremny z waćpanny kozaczek. Jeszczem też takiego pachotka, póki żyję, nie miał — ale tak myślę, że mi go p. Skrzetuski odbierze. A to co? O dla Boga, zwińże waćpanna te włosy, boć się nikt co do pleci twej białogłowskiej nie omyli.

— Dokąd jedziemy? — pytała kniaziówna.

— Gdzie czy niosą!

— To nie do Lubniów?

— Widzisz waćpanna, mam ja swój rozum i wierzę, że wszystko dobrze wykalkulowałam. A kalkulacja moja jest na następnej mądrej maksymie oparta: nie uciekaj w tę stronę, w którą cię gonić będą. Owóż, jeśli nas gonią już w tej chwili, to nas gonią w stronę Lubniów. Ergo: uciekamy ku Czerkasom. Rozumiesz waćpanna?

— Rozumiem i póki życia mego, póty wdzięczność dla waćpana. Nie wiem kto jesteś, ale myślę, że cię Bóg zesłał na obronę moją i na ratunek, bo byłabym

się pierwiej nożem pchnęła, niżbym miała iść w moc tego zbroja.

— Smok to jest na niewinność waćpanny srodze zażarty. — Ej, dałżeby on mi łupnia — miły Boże! — gdyby mię tylko w ręce dostał. Na jaszczur skórebę mi wyprawił. Waćpanna nie wiesz, że ja już w Galacie od turków palmę otrzymałam, ale też mam dosyć, drugiej nie pragnę i dla tego nie do Lubniów, tylko ku Czerkasom zdążam. — Bestja to jest dzika ten Bohun, mówię waćpannie. Takem go sobie zbrzydził, że wolałbym dyabła zobaczyć, niż jego.

U Bohuna czleka zabić, to jak drugiemu kubek wina lyknać.

Rozmowa przerwała się na chwilę. Puścili się znów cwałem i lecieli z pół mili bez wycieczki, — nagle, naprzeciw nich ukazał się jakiś punkt ciemny, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Co to za dyabeł może być i czego tak leci? Ależ leci — rzekł pan Zagłoba, dobywając z olster pistoletu, aby być gotowym na wszelki wypadek.

Tymczasem goniec zbliżył się już na kroków trzydzieści.

— Stój! — huknął pan Zagłoba, wymierzając pistolet. Kto jesteś?

Jeździec podniósł się na siodle, ale zaledwie spojrział, gdy krzyknął.

— Pan Zagłoba!

— Pleśniewski? A ty tu co robisz? gdzie lecisz?

— Mości panie! zawracaj i ty ze mną! Nieszczęście!

— Co się stało? Gadaj.

— Czehryn już zajęty przez zaporozców. Chłopy szlachtę rzną.

Chełmży, Lubawy, Sztumu, a nawet z Poznania, Inowrocławia, Bydgoszczy, Pleszewa itd., a wyraźnie stawia ona, jako cel zebrania, naradę nad obroną polskiego przemysłu, zagrożonego przez Hakatystów. Odezwa zaznacza, iż przemysł polski, nie wyhodowany sztucznie, ale powołany do życia przez potrzeby ludności, do niedawna istniał bez przeszkód obok przemysłu i handlu niemieckiego, nie starając się mu szkodzić, dbając tylko o rozwój własny; ale w ostatnich czasach system „antypolski“ pragnie podciąć byt Polaków przemysłowców, przedsięwzięli więc oni obronę. Odezwa mówi:

„Nie myślimy organizować walki zaczepnej, chodzi tylko o to, abyśmy szalejącą nad przemysłem naszym burzę przetrwać mogli bez strat zbyt dotkliwych.“

Z tego powodu pisze „Słowo Polskie“:

»Przemysłowcy polscy w Prusach Zachodnich i w Poznańskim, postanowili wreszcie stanąć z otwartą przyłbicą do walki z hakatyzmem, dążącym stale i systematycznie do podkopania bytu nie tylko narodowego ale i ekonomicznego naszego społeczeństwa.

Bądź co bądź, zjazd ten i walka, choćby obronna jest objawem znamienym. Dowodzi ona, że prześladowanie żywiołu polskiego przez Hakatystów prowadzi do jednego tylko rezultatu: do wzmocnienia świadomości i solidarności narodowej, do stężenia i wyrobienia sił w ogniu i walki.«

Z wieca teruńskiego obiecujemy sobie jaknajpiękniejsze wyniki: a przede wszystkim — silne zorganizowanie polskiego przemysłu i handlu dla tem skuteczniejszej obrony przed napaścią hakatyzmu niemieckiego.

* * *

W ubiegłym tygodniu już scharakteryzowaliśmy na tem miejscu w silne zwroty ujęty program „Oređownika“, a zarazem zaznaczyliśmy, że nie tyle koniec kwartału, ile raczej zmienione warunki polityczno-społeczne były powodem tego wystąpienia z tezami programowymi. Zdanie to nasze potwierdza się o tyle, że i inne pisma, oprócz naszego wystąpiły z programem swej działalności.

„Dziennik Berliński“ pisze w swym artykule zasadniczym:

„Nasze cele narodowe zdołamy osiągnąć tylko wtedy, jeśli ku wspólnej pracy połączymy wszystkie warstwy społeczne, przyznając każdej z nich równe prawo i równy obowiązek troszczenia się o przyszłość narodu.“

Pierwszym warunkiem tej wspólnej pracy, opartej na gruncie równości, jest ze strony warstw wyższych, inteligentnych:

danie ludowi i klasom średnim przy należnego im udziału w życiu politycznym i przygotowanie ich do tego za pomocą szerzenia świadomości narodowej, przez pracę nad ludem,

Każde pismo polskie powinno:

na każdym kroku i w każdym słowie starać się szerzyć ducha wśród najliczniejszej a nieświadomionej jeszcze klasy społecznej, powinno budzić najszerze warstwy narodu hasłem: Was teraz potrzebuje naród! Wy macie teraz stanąć w szeregach, aby wytrwała pracą bronić sprawy ojczystej!

Lecz na tem nie koniec. Jeśli lud nasz ma być oświecony i jeśli ma przyjąć się świadomości obywatelskich obowiązków, to społeczno-ekonomiczne poło-

żenie jego musi odpowiadać jego politycznej roli.

Ekonomiczny dobrobyt bowiem jest podwaliną politycznego znaczenia: nie możemy żądać od średnich i niższych warstw społecznych, aby dążyły do ideałów narodowych, jeśli nie będziemy ich zachęcać do zdobycia sobie dobrobytu ekonomicznego.“

Gdy się słowa powyższe porówna z cytowanym tu poprzednio programem „Oređownika“, lub naszym programem, któryśmy wyluszczyli we wstępnym artykule z zeszłego tygodnia, a wreszcie z poglądami, wypowiedzianymi w obu broszurach „Nasza sprawa“ i „Echa protestu“ — to oprzeć się nie można wrażeniu, że jeden jakiś duch wspólny łączy te usiłowania w jeden węzeł i przyszłość im otwiera. Podobne są one do siebie dlatego, że — jak nam sądzić wolno — wyrosły one na jednym i tym samym gruncie trafnego zrozumienia obecnego położenia społeczeństwa polskiego.

Z tego trafnego zrozumienia, które opiera się na stosunkach naszych społeczno-politycznych, tak jak się one ułożyły od pewnego czasu, wysnuł się sam niejako program dalszego działania — a że wysnuł się on samodzielnie tu i tam, w wyższych i w niższych sferach inteligencji, w kraju i na obczyźnie — z tego wynika jak on był koniecznym!

Swoją drogą sprawia on zapewne ból głowy tym naszym niepowołanym wielkościom, które wdrygają się przed programem, jako przed wędzidłem, co mając w karby ich samowolne zachcianki — lecz to nic nie szkodzi: potępiając „bezprogramowców“ nie pozostajemy w tyle za Niemcami, którzy oddawna już uznali,

— W imię ojca i syna. Co gadasz... Pan Zagłoba oczy wybałuszył, usta otworzył i zdumiał tak, że słowa nie mógł przemówić.

— Uciekaj waćpan! — powtórzył Pleśniewski.

— Jezus, Marya! — jęknął pan Zagłoba.

— Uciekajcie, bo czasu nie ma.

— Gdzie? dokąd!

— Do Łubniów.

— A ty tam dążysz?

— Tak jest. Do księcia wojewody.

— A niechże to kaduk porwie! — zawołał pan Zagłoba. A hetmani gdzie są?

— Pod Korsuniem, ale Krzywonos już pewnie się bije z nimi.

— Krzywonos, czy Prostonos, niechże go zaraza ukąsi! To tam nie ma pó co jechać?

— Jako lwu w paszczę, na zgubę waćpan leziesz. W Czehrynie mówili, że jeno patrzyć jak i na Zadnieprzu chłopstwo się podniesie.

— Być to może, być może! Ruszajże w swoją drogę, gdzie się podoba, bo ja mam dość o swojej skórze myśleć.

— Taki uczynię! — rzekł Pleśniewski.

— A omijaj Różłogi — krzyknął mu na drogę Zagłoba — jeśli zaś spotkasz Bohuna, nie gadaj, żeś mnie widział, słyszysz?

— Słyszę — odparł Pleśniewski. I popędził jakby już goniony.

— No! — rzekł Zagłoba — masz dyable kubrak! Wykręcałem się sianem z różnych okazji, ale w takich jeszcze nie byłem. Z przodu Chmielnicki, z tyłu Bohun, co gdy tak jest, nie dałbym jednej

złamanej osty ani za swój przód, ani za tył, ani za całą skórę. Głupstwu pono zrobił, że do Łubniów z waćpanną nie uciekał, ale o tem nie czas mówić. Tfu! tfu! Cały mój dowcip nie wart teraz tego, żeby nim buty wysmarować. Co uczynić, gdzie się udać? W całej tej Rzeczypospolitej nie ma widać już kąta, w którymby człowiek swoją, nie darowaną śmiercią, mógł zejść ze świata. Dziękuję za takie podarunki, niech je inni biorą. Czekaj waćpanna. Jakoś duch wstępuje we mnie znowu. Bywało się w różnych okazjach. Wolnym czasem opowieć waćpannie, co mnie w Galacie spotkało — z czego wraz zmiarkujesz, że i w tedy krucho było ze mną, a przecieże się własnym dowcipem z tamtych terminów salwowałem i wyszedłem cało, chociaż mi broda, jak to widzisz, posiwała. — Ale musimy zjechać z gościńca. — Należy się pokrzepić, bo droga daleka. Zróbże waćpanna jakie wotum do św. Rafała, byśmy ją szczęśliwie odbyli. Pleśniewski mówił, że i na Zadnieprzu chłopci się podniosą. Hm! być może, ale na Zadnieprzu spoczywa ręka księcia wojewody, a dyabło ciężka to ręka. Bohun zdrowy ma kark, ale jeśli ta ręka nań spadnie, to się przecie ugnie do samej ziemi, co daj Boże, amen. Jedźże waćpanna.

Pan Zagłoba ułożył przed Heleną na czapraku pieczeń wołową i chleb.

— Jedźże waćpanna — rzekł — „kiedy w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą...“ „Chcesz nie podrwić głowę, jedź pieczeń wołową.“ My zaś już raz podrwili, bo pokazuje się, że lepiej było do Łubniów uciekać, ale stało się. Stra-

sznych to czasów dożyliśmy, gdyż wojna domowa, to że wszystkiego zlega najgorsze. Nie będzie kąta dla spokojnych ludzi. Lepiej mi było księdzem zostać, do czego miałem i powołanie, bom człek spokojny i wstrzemięzliwy, ale fortuna inaczej zrządziła. Mój Boże, mój Boże! byłbym sobie teraz kanonikiem krakowskim i śpiewałbym godzinki w stalach, bo mam głos bardzo piękny. Ale cóż! z młodu podobały mi się podwiki! Ho! ho! nie uwierzysz waćpanna, jaki był ze mnie gładsz. A com na którą spojrzal, to jakby w nią piorun trzasł. Żeby mi tak dwadzieścia lat mniej, miałby się spyszna pan Skrzetuski. Bardzo foremny z waćpanny kozaczek. Nie dziwił się młodym, że wedle ciebie zabiegają i że się o ciebie za łby biorą. Pan Skrzetuski zabijaka to także nielada. Byłem świadkiem, jak mu Czaplński okazyę dawał, a on prawda, że miał w głowie, ale kiedy nie porwie go za łeb i — z przeproszeniem waćpanny za pludry, kiedy nie grzmotnie nim o drzwi — to mówię waćpannie, że mu wszystkie kości z zawiasów wyszły.

Chociaż miła mi waćpanny kompanja, ale dałbym nie wiem co, żeby już być w Złotonoszy. Powiem waćpannie, że okrutnie mi się spać chce. — Spać mi się tak chce, że i do rozmowy straciłem ochotę, a choć milczeć nie mam zwyczaj, bō filozofowie mówią, że kot powinien być łowny, a chłop mowny, jednakże widzę że język mi jakoś zleniwił. Przepraszam waćpanne, jeśli się zdrzemnę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

że za brakiem programu kryje się nicieś moralna.

„Kuryer Poznański“ pisze:

»Przeciwko bezbarwnej prasie zaczynają teraz występować także liberaltowie. Na zebraniu wolnomyślnego związku w Berlinie przemawiał w czwartek rektor Brand na temat »Bezbarwna prasa, choroba naszego życia publicznego«. Mówca przedstawiał najprzód zadania rozsądnej prasy i wykazywał, że potrzebuje ona swobodnego rozwoju obok współpracownictwa obywateli. Nastąpiła charakterystyka prasy bezbarwnej, która dąży do otumanienia i uspienia opinii publicznej i pod zakapturzeniem służy reakcyi«.

W jednym z pism naszych znajdujemy następujący fakt:

Jeden z przyjaciół naszych opowiada nam:

»Gdy się wdał w rozmowę z szewcem, który mi dostarczył jakiejś roboty, po krótkiej rozmowie rzekł do mnie pocziwiec, wyciągając z kuferka ładnie owinięty w papiery zeszytek: »Tu mam spisane opowiadanie o obronie Częstochowy... Tu i o królach naszych też coś jest. — Bo myśmy przecież królów naszych mieli — ale was to tam teraz o tem w pruskich gimnazyach nie uczą...«.

Charakterystyczny ze wszech miar fakt ten świadczy z jednej strony, jak niezależnie, jak osobnem łożyskiem płynie poczucie narodowe w poszczególnych klasach, a z drugiej zaś strony, że warstwy rzemieślnicze same — z tym szczupłym materiałem, jaki mają pod ręką, z temi okrucami, spadłemi ze stołów bogaczy, już na własną rękę chcą walczyć w obronie ideałów narodowych i dumne są, sądząc się jedynymi stróżami świętej skarbnicy!

A czy u nas jest inaczej? — Tu nawet więcej ta klasa średnia ma sposobności czerpania ducha narodowego wprost z jego niezmaconych źródeł, tu stosunkom jej z inteligencją nie na przeszkodzie nie staje.

* * *

Z powodu wyborów w Starogardzie pisze „Frankfurter Ztg.“

»Ilećroć w sejmie pruskim Polacy podnoszą z całą namietnością swego temperamentu skargę na to, że ich w Prusach traktują jako obywateli drugiej klasy, zaprzeczają temu od stołu rządowego i z szeregów tych stronnictw, które od czasu ustąpienia Capriviego prowadzą ostrzejszą politykę w obec Polaków i rząd skłoniły do takiej polityki. Zapewnia się wtenczas zwykle, że od Polaków nikt nie żąda czego innego, jak tego, aby czuli się pruskimi obywatelami i rzekli się wielkopolskich zamysłów. Ale czyż to nie jest istotnie traktowaniem Polaków, jako obywateli drugiej klasy, gdy się teraz wolnomyślnym wyborcom, którzy przy wyborach uzupełniających w Starogardzie nie głosowali na Polaka, lecz tylko powstrzymali się od głosowania, grozi dyscyplinarnymi karami?«

„Frankfurter Ztg.“ nie myli się bynajmniej — i poczucie tej nierówności wobec prawa jest dość silne w naszym narodzie i — w naszej prasie.

„Gazeta Ostrowska“ pisze:

»Cóż zawinił biedny lud polski, że go się w ten sposób prześladowa? To pytanie, stawione w sejmie przez jednego z posłów naszych, rozbrzmiewa obecnie po całej dzielnicy naszej. Z każdym dniem coraz to nowego i nieprzewidzianego doznaje społeczeństwo nasze prześladowania, nie dla tego, że sobie na nie zasłużyło, ale dla tego, że bractwo trzech liter, wzburzywszy umysły »patriotycznych mężów niemieckich«, pragnie znęcać się nad ludem polskim. Nikt z panów, którzy przysięgę złożyli na litery HKt nie myśli na serio, że w różbudzonej walce upadnie społeczeństwo nasze. Ale za to chętnie widzi, jak Polak, nie chcący porzucić pięknego ojców języka, cierpi i jęczy pod uciskiem i gwałtem«.

Słusznie też głos podnosi „Gazeta Grudziądzka“ aby w trafny sposób scharakteryzować taktykę Hakatystów i ich przymioty moralne:

»Przyjaciele panów Tiede-Hanse-Kennemanów twierdzą też zwykle, że ich bractwo

nie ma nic wspólnego z polityką, tymczasem zajmowali się panowie zebrani pod «Złotym Lwem» bardzo pilnie wyborami przyszłorocznymi.

Następnie zajmowali się zebrani znowu duchowieństwem katolickim i przy tem zaznaczyli, że starsi księża nie tak polonizują jak młodzi. To też postanowili bardzo uważać na postępowanie młodych księży i pilnie donosić o nich rządowi, znaczy to więc, że w najlepsze będą uprawiali denuncyacyę. No, przynajmniej nie będzie tajna policya polityczna w ambarasie, zkąd brać agentów, gdy jej takowych zabraknie. Ale niech sobie ci panowie z tego swego zacnego postępowania nie obiecują wielkich skutków, bo najpierw żaden ksiądz nie polonizuje, chociaż jest dużo takich co germanizują, a jeżeli ksiądz katolicki w interesie Wiary św. występuje w obronie języka polskiego, to od tego żadne go denuncyacye nie wstrzymają. Bo „dobry pasterz daje życie swe za owce swoje“, dobry kapłan, owiany rzeczywiscie duchem Apostołów i będąc prawdziwym sługą Chrystusa Pana, nie ulęknie się utraty względów ludzi tego świata i nie będzie zaprzedawał swego sumienia, swych przekonań, swych obowiązków, za marność tego świata, stawia on zbawienie dusz, swych owieczek, wyżej od świecidełek w postaci orderów i od pełnej kiesy, jaką mu dają tuste probostwa«.

Jak trudnem wobec tego bezrozumnego podszezuwania jest położenie naszych księży świadczy poniższa notatka „Gońca Wielkopolskiego“:

»Ancajger« donosi z Szywałdu pod Gliwicami, że tamtejszy prob. ks. Zielonkowski dąży do rozwiązania miejscowego związku wojsackiego (Kriegervereinu). Przy pogrzebie pewnego członka nie pozwolił strzelać nad grobem; przy rocznicy nie chciał pozwolić na taniec; fundusz związku radzi oddać po rozwiązaniu na budowę kościoła. Skutkiem tego wszystkiego podało kilku członków zarządu kościelnego i zastępstwa gminnego doniesienie do żandarma miejscowego! Tenże poda sprawę landratowi

Wychowanka Dziadunia.

(Ciąg dalszy.)

XX.

Bal przeciągnął się aż do świtu. Najzajutrz rozmaite powozy, koczki, nejtyczanki, karyolki i bryczki odwoziły gości z Lipowej. Mirski także dążył na kolej. Pan Jan Sawiński, oparty o kolumnę zajązdu, przypatrywał się, jak kilku najhulaśliwszych z tej złotej młodzieży wsiałdo do ostatniego koczka.

— Czy te firyki mają w sercu jakiegokolwiek uczucia narodowe? — zapytał zięcia z odcieniem szyderstwa w głosie.

Gdyby ich kto o to zapytał, odpowiedzieliby z pewnością, że to za wiele sprawa kłopotu. Ale to wszystko tylko poza; widziałem za moich czasów takich samych i gorszych nawet... przy pierwszym wystrzale armaty, zmieniali się w bochaterów; *Zawsze oni!*

— Mici byś im jednak nie powierzył!

— Tego nie twierdzą. Są pomiędzy nimi bardzo dobre chłopaki.

— Posłuchaj mnie, kochany Stasiu, muszę ci powierzyć marzenie starego dziad-

ka, może zresztą to tylko sen niedorzeczny...

W tej chwili zbliżyła się Helena powolnym swym krokiem, pełnym zawsze wdzięku.

— Dałbym głowę, że pani Zarembina podzieli moje zapatrywanie?... Mówimy o Mici... Chciałem Stasiowi powiedzieć, że nie by mnie bardziej nie uszczęśliwiło, jak widzieć ją kiedyś żoną Konrada Mirskiego.

Młoda kobieta spojrzała z przestachem na starca, zaciśnęła blade usta złowrogim uśmiechem i zaśmiała się lekceważąco:

— Żoną Konrada Mirskiego? to chłopak bez grosza, poróżniony z ojcem, a do tego bywalec, jak mówią!... Nie osobiwa to partya panie Sawiński!

I głośno się rozśmiała, oddychając ciężko; było jakby wyzwanie w dzikim blasku jej zrenicy i w mocno zaciśniętych wargach.

— Jabym nic nie miał przeciwko niemu — odrzekł spokojnie prezes.

* * *

Konrad tymczasem jechał ku Karpatom, opuściwszy malownicze brzegi Dniestru, pociąg zapaścił się w kwieciste doliny Stryja. Sam był w wagonie; trzymał

w ręku rozłożoną gazetę, lecz oczy miał przymknięte i przywoływał sobie na pamięć wszystkie doznane wrażenia.

Czarującą była ta Micia! nawet jego oczarowała. człowieka poważnego, który przecież dobrze znał kobiety. — To jeszcze dziecko prawie, a tyle już posiadało wdzięku niewieściego!

Z jakim promienistym blaskiem w oczach powiedziała mu, gdy ją w lesie odnalazł: — „Cieszę się, że to pan!

Zenić się? O! nie, ani o tem myślał; gotowi powiedzieć, że się o jej posag starał Zresztą... zostać zięciem Heleny... co za myśl dziwaczna!

Powolny bieg pociągu kołysał go i pobudzał do marzenia. Jak we śnie widział je obiedwie przed sobą: jedną wyzywającą, dumną ze swej upajającej piękności; drugą nieśmiałą i jakby przejętą świeżością powietrza górskiego, wśród którego wzrosła.

Chłodny powiew z otwartych drzwi ciek wagonu zbudził młodego człowieka i usłyszał głos znajomy:

— Kłaniam się szanownemu panu Mirskiemu.

— Pan adwokat Jazowicz — odrzekł, marszcząc brew.

Do usług.

który amtomemu rzecz zbadać polecił. Rejencya i książę-biskup mają także o tem się dowiedzieć.

Jeżeli to prawda jest, co „Ancajger“ napisał, to z powodu związku wojackiego „miłe stosunki“ wytworzyły się w parafii. Katolicy idą na swego proboszcza ze skargą do żandarma i landrata, a pan landrat czempredzej zarządza śledztwo w tej sprawie. Na dobitkę zaś wszystko to dostaje się do antykatolickiej gazety z pogroźką dla księdza proboszcza, że sprawa dojdzie do rejencyi i biskupa.

Sprawie tej „Katolik“ poświęca poniższe uwagi:

»Nie poraz pierwszy to się dzieje, — że ksiądz dostaje się w nieprzyjemne położenie z powodu związku wojackiego. Niechby to było ostrzeżeniem dla tych księży, którzy w tych związkach nic niebezpiecznego nie widzą. Dałby Pan Bóg, żeby nasi księża postawili się na stanowisku owego czcigodnego księdza proboszcza niebożczyka, który ciągle parafianom przykazywał: A nie wstępujcie mi do Kriegervereinów!«

Gdzież wiara wasza?

Chrystus śpi w łodzi! Łódź po jeziorze
Spokojnie — lekko, w dal się posuwa,
Uczniów gromadka przy Mistrzu swoim
Spoczywa cicho, strzeże i czuwa.
W tem się wiatr zrywa, spienione fale
Rzucają łodzią na wszystkie strony,
Huczą i szumią, łódź zalewają...
A Chrystus leży w śnie zatopiony,
Więc pełni trwogi uczniowie Jego
Budzą Chrystusa mówiąc: — toniemy!
— Burza nawalna podnosi fale,
— Łódź się zatapia, Mistrzu! ginie!

A Chrystus rzecze: — Gdzież wasza wiara?
O! ludzie! ludzie! serca małego...
Jeśli ja z wami — to nie zginiecie
Wśród burz nie spotka nie was tu złego.

Prawnik miał czarny surdut; okrągłe i wypukłe jego oczy błyszczały przebiegłością, a gorzki uśmiech ukrywał się pod starannie utrzymanymi wąsami; czoło śledziennika marszczyło się pod napływem skrytych myśli i zamysłów.

— Wiedziałem, że pana przyjazdu tu oczekują i wyjechałem na spotkanie — rzekł podając mu rękę, a gdy Konrad swojej nie wyciągnął, lecz zimno na niego patrzył, prawil dalej tonem uroczystym: — Jestto dłoń przyjaciela, którą panu podaję, proszę mi wierzyć; gorliwego przyjaciela, który tylko do tego dąży, ażeby pana pogodzić z szanownym jego ojcem — dodał mrużąc oczyma, prawie z rozczulenia.

— Dotychczas nie miałem dowodów dobrej woli pańskiej — odrzekł Konrad sucho — owszem, wiem dobrze, co zawiadzczęm pana wpływem! pan chciałeś mnie podejść, usunąć od ojca i samemu pracować!... Dzisiaj, źródła niedostatecznie zgłębione prawie nic nie wydają, a ojciec mój zmuszony coraz większe sumy dokładać. Czy pan ma w tem jakie skryte zamysły? o tem się wkrótce przekonam.

Adwokat skureczony, z łokciami wspartymi na kolanach, abrodą opartą w żółtych

I ścichy wichry. Fale jeziora
Spokojnie, lekko łódź w dal unoszą...
Uczniowie wielką Moc Zbawiciela
Wśród rzeszy wiernych wielbią i głoszą.

O polski ludu!.. Gdy srogie wichry
Miotają nami wśród nieszczęść fali,
Gdy nas niewola depce i guębi,
I cierpien rana piersi nam pali,
Gdy nas wrogowie pogrzebać pragną,
I sto lat przeszło w łzach się kąpiemy,
Gdyśmy osłabli w cnocie i wierze
O! nie wołajmy jeszcze — toniemy!
Bo Bóg jest z nami! On nie opuści...
Ucichnie burza, co nas zastrasza...
Lecz miejmy ufność — by nie pytano
— O ludzie! ludzie! gdzie wiara wasza?
Gdzie wiara nasza? Bracia! — rodacy! —
Wiara się w czynach, nie w słowach mieści.
W bratniej miłości — w cnocie — pokorze,
W cichem znoszeniu krzyża boleści,
Więc miejmy taką wiarę niezłomną,
A choć przez morze cierpien płyniemy,
Pełni nadziei — wiary — miłości...
Dojdziem do celu — nie utoniemy!

X Pierwszy koncert Chopina.

Było to w roku 1826, gdy wieczorem w miesiącu sierpniu przejeżdżała przez miasteczko Reinerz na zwyczajnym wozie podróżnym piękna dama o typie cudzoziemskim z siedemnastoletnim synem i młodszą córeczką, dążąc do sąsiedniego miejsca kąpielowego tej samej nazwy. — Córeczka była chora, syn cierpiący i słabowity. Słynne źródła lecznicze w Reinerz miały im przynieść pomoc. Rodzeństwo miało ciemne włosy i ciemne oczy oraz piękne twarze i delikatną cerę. Nareszcie stanęli u celu długiej i mozolnej podróży, bo przybyli aż z Polski. Podróżni zamieszkali w skromnym domku w bliskości źródła, na którego miejscu stanął później piękny dom. W liście gości kąpielowych czytano dnia następnego: „Przybyli . . . 8 sierpnia 1826, nr. 300, pani Chopin z synem i córeczką z Warszawy“.

Zaledwie dni kilka upłynęło od przybycia naszych rodaków do Reinerz, gdy pewien wypadek śmierci poruszył do żywego umysły gości kąpielowych. Wprawdzie wydarzały się prawie corocznie pomiędzy ciężko cierpiącymi wypadki śmierci w Reinerz, ale właśnie ten wypadek śmierci zaszedł wśród szczególnie smutnych okoliczności. Dwie młode panienki utraciły matkę i stały u jej łoża śmierci opuszczone i pozbawione wszelkich środków na obczyźnie, gdyż nie miały funduszu na pogrzeb i powrót do domu. — Także rodzina Chopinów dowiedziała się o tym smutnym wypadku, a młody Fryderyk, którego szlachetne serce nieszczęście dwóch sierót wzruszyło do żywego, powziął projekt urządzenia koncertu na rzecz biednych panienek. Ten pierwszy publiczny koncert, z którym Chopin na obczyźnie wystąpił, odbył się dnia 16 go sierpnia w dawnym „kursalonie“, obecnym teatrze. Koncert udał się świetnie; zebrany fundusz pokrył najzupełniej potrzeby sierot. Na pamiątkę koncertu umieszczono na sali koncertowej tablicę pamiątkową z napisem niemieckim: „W tej sali Fryderyk Chopin w dniu 16 sierpnia r. 1826 dawał swój pierwszy koncert publiczny na rzecz dwóch sierót“.

Przechowano list Chopina, w którym do przyjaciela swego Kolberga pisze, że po 14-dniowej kuracji czuje się silniejszym i lepiej wygląda. Często i chętnie z gór lasami pokrytych schodził w dolinę, aby tam rozkoszować się piękną przyrodą.

Owa wybitna chwila w życiu nieśmiertelnego mistrza tonów skłoniła p. Wiktora Magnusa z Warszawy do ustawienia w pobliżu miejsca, w którym Chopin odebrał chrzest na dalszą drogę artystyczną, pomnika z medalionem nieśmiertelnego mistrza.

Uroczysty akt odsłonięcia pomnika odbył się dnia 19 czerwca r. wobec reprezentantów miasta, obecnych w Reinerz Polaków z fundatorem na czele i wielkiej liczby kuracuszów.

chudych dłoniach, patrzył z podoba prze-nikliwie na towarzysza podróży.

— Dalejże huzia na starego sługę; on wszystko znieśie z pocałowaniem rąk. Zawsze pan został owym młodym zapalczywym Konradkiem z dawnych czasów! Czy pan zapomniał, że szanowny ojciec pański jest istnym tyranem? Ja przecież także jestem tylko narzędziem w jego ręku! Dzięki jego zastarzałym pojęciom, wszystkie moje zamysły w niwecz idą. Błagałem go, żeby pana napowrót do siebie przywełał; wówczas nazwał mnie socyalistą! A jednak pan byłby nas z pewnością wyratował!... I dziś znowu, jeżeli tu przyjechałem, to tylko w tym celu, aby panu przedłożyć kombinację, która mu może dać miliony...

Konrad siedział niewzruszony, nie przerywając mu. Pociąg do gór się zbliżał i czerwone blaski zachodzącego słońca oblewały wspaniałe odłamy lupkowe, sterzące wśród olbrzymich „smereków“.

— Tak, miliony — ciągnął dalej, zapalając się do przedmiotu Jazowicz — a przytem jedyny to sposób, aby ojca pańskiego przekonać!...

I zaczął opowiadać, że w Małopolu, jednym z folwarków, należących do Mirskich, gospodarz Piotr Bela, posiada na

stoku góry grunta obfite w olej skalny i to w warunkach nadzwyczaj korzystnych, gdyż ropa znajduje się już w 40 do 50 metrów głębokości. Na nieszczęście żyd szynkarz ma sumę zahypotekowaną na gospodarstwie i jeśli nie żąda jej natychmiastowego zwrotu, to tylko pod tym warunkiem, że chłop zaraz wiercenie rozpocznie. Ostatni termin do 15 maja roku przyszłego. Wtedy, jeżeli Piotr nie będzie mógł długu spłacać wydobytą naftą, ziemia i wszystkie narzędzia przechodzą na własność żyda. Chodzi więc o to, żeby wynaleźć inżyniera, któryby się podjął kierowania robotami.

— Bardzo twarde warunki i termin krótki — odrzekł Konrad — zwłaszcza, że zima przerwie robotę.

— Przecie... — wtrącił nieśmiało adwokat — na kanadyjski sposób, o którym pan tyle pisał po dziennikach, możeby łatwiej poszło... Zresztą... ja bym mógł... dopomódz... w potrzebie...

Pociąg stanął na większej stacji i weszło dwóch nowych podróżnych. Im więcej się zbliżano do kopalni, tem bardziej ruch na kolei się zwiększał. Tłumy żydów, robotników i przemysłowców zalegały dworzec. Dwaj nowi podróżni bogaci

spójni, aby podać przeciwnościom i zwyciężyć. I tak w Kólkach włociańskich uczą się gospodarze nasi z rozmaitych wykładów i odczytów lepszej uprawy roli lub hodowli bydła, dowiadują się o nowych wynalazkach i maszynach, zamieniają między sobą własne doświadczenia i spostrzeżenia, przez co kształcą się bardzo, pobudzają się do chwalebego współzawodnictwa, zachęcają do pracy, wreszcie porozumiewają się co do wspólnych zakupów czy to zboża do siewu, czy maszyn droższych, czy wreszcie nawozów sztucznych“.

KORESPONDENCYE.

Od pana hr. Zygmunta Grudzińskiego otrzymujemy następującą korespondencją:
„Osiek 24. 9. 97.

Szanowna Redakcyo!

W numerze 97 „Pracy“ wyczytałem wiadomość z „Geselligera“, że komisya kolonizacyjna stara się o nabycie **Brodowa**, własności syna mego, hr. Adama Grudzińskiego.

Oprócz powyższej wzmianki, wyczytałem to samo w „Lissauer Tageblatt“, w korespondencji z Miłosławia, i niebawem odpisałem do tego blatu, (co nie wydrukowano), za mego syna, który się w dalekiej podróży od kilku miesięcy znajduje, iż o **checi nabycia Brodowa** przez komisję kolonizacyjną mowy być nie może, bo nikt z takową w układy nie wchodził, co bym też uważał za hańbę dla mego nazwiska, wykupiwszy ziemię polską od 3 innoplemieńców i 4 semitów, razem 7 majątków.

Proszę Szanowną Redakcją powyższą korespondencją w swem zacnem piśmie umieścić, którego jestem prenumeratorem i lubownikiem.

Z wysokim szacunkiem
hr. Zygmunt Grudziński“.

Korespondencya powyższa, którą odczytaliśmy z wielkiem zadowoleniem, sprawi zapewne i na Szanownych Czytelnikach „Pracy“ wrażenie sympatyczne. Bo wszakże w tej ciężkiej niedoli, w jakiej społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim się znajduje, i w tej trudnej walce z stomilionowym, na naszą ekonomiczną biedę obliczonym funduszem, podnosić musi na duchu uczciwe to słowo zacnego obywatela patrioty, pojmującego głęboko obowiązki wielkie spoczywające na tych, w których rękę jest jeszcze ziemia nasza. Takich słów obowiązku i prawdy więcej — więcej!

Lipsk, 25 września.

(Korespondencya „Pracy“).

(Wystawa. Dział księgarsko-drukarski.)

Ustalona sława lipskiego księgarstwa i sztuki drukarskiej, sięgająca XVI wieku, trwa dotychczas i wobec olbrzymich postępów na drodze technicznej nie pozwala się zaćmić nikomu i śmiało kroczy naprzód, dzierząc palmę pierwszeństwa i walcząc wytwale z powstającymi coraz liczniej konkurentkami o należne jej uznanie. Z kilku cyfr statystycznych łatwo

poznać można olbrzymi rozwój tego przemysłu, którego stolicą jest Lipsk.

Drukarni Lipsk posiada 150, które zatrudniają przeszło 6 tysięcy zecerów; doliczywszy do tego wszystkich pracujących w zakładach, mających bezpośrednią styczność z drukarstwem, jak litografie, giserstwo, fabryki maszyn i utensyliów drukarskich, introligatorstwo itd., otrzymujemy na mocy danych statystycznych, że ta gałąź przemysłu zatrudnia 50,000 osób, czyli 1/8 mieszkańców Lipska.

— Statystyczna cyfra konsumowanego rocznie przez drukarstwo lipskie papieru wynosi 2,500 milionów arkuszy. Gałęź ta przemysłu jest jedną z ważnych podstaw życia lipskiego i nawet przy olbrzymiej industrii całej Saksonii i Turyngii nie pozwala się zepchnąć na drugi plan i zajmuje na wystawie prawdziwie lwia część.

Grupa księgarska znalazła swe miejsce w środkowym pawilonie wielkiej hali przemysłowej. — Wchodzi się odrazu do mrocznej biblioteki klasztornej: rząd kolumn romańskich podpira sufit, którego malowidło wykonane zostało według wzoru staro-chrześcijańskich bazylik. Ściany dekorowane są w szaro-zielonym kolorze. W czterech rogach wiszą portrety ewangelistów: św. Marka, Jana, Mateusza i Łukasza. Po środku znajduje się statua twórcy sztuki drukarskiej — Jana Gutenberga. W pawilonie tym, zawierającym zbiory wydawnictw książek najróżnorodniejszych gałęzi, nut, map, atlasów geograficznych i historycznych spotykamy — z pośród mnóstwa wspaniałych wydawnictw całkowity zbiór dzieł Mickiewicza, zwracający powszechną uwagę i wielkie zaciekawienie widzów. Tak więc wszędzie polski duch lub wiedza polska potuluje — biedni hakatyści!

Chicago, 11s 4 września.

(Korespondencya „Pracy“).

Cały jestem jeszcze pod wrażeniem Niagary. W uszach brzmi mi wciąż ten straszny ryk wody, spadającej nagle z wysokości 160 stóp, przed oczyma przesuwa się te śnieżyste kaskady, te wysoko wzbijające tumany rozpylonych kropelek, te barwne tęcze na spienionej rzece i w jasnym powietrzu, ta cudowna panorama wybrzeży, te mosty zwieszające się jak hamaki nad przepaściami... A to uczucie, jakiego doznaje człowiek — marny robak, wobec tej strasznej i wiecznej potęgi! Gdym, przedostawszy się w nieprzemakalnym ubraniu przez wykute w skałach korytarze, stanął u samych stóp wodospadu i podniósł oczy do góry, gdzie w fantastycznych zwojach, jakby z marmuru żłobionych a żywych, splywała wód ta królowa — doznałem dziwnego wzruszenia i bojaźni. Zjawisko przestraszało swą potęgą a jednocześnie przykuwało do siebie, pociągało bliżej i bliżej... Dlatego też Indianie „grzmiącą rzekę“ uważali za bóstwo. Bali się jej i — kochali. Rok rocznie najpiękniejszą dziewicę składano Niagarze w ofierze: Ubierano ją w kwiaty, sadzano do łodzi i puszczano z prądem, który niósł ją aż do załomu Podkowy, gdzie ginęła bez śladu. A może to dzisiaj cienie tych ofiarnie wzbijają wysoko ponad obłokami pary i lśnią wszystkimi

kolorami tęczy?... Może ich to jaki slychać z pod granitów, po których krwawej powierzchni bluszcz dziki się wiję...

Chicago po Nowym Yorku wygląda niezgrabne i brudne. Z obowiązku poznaję naprzód dzielnicę polską, tak zwane Stanisławowo“, znajduje się tam bowiem kościół św. Stanisława Kostki. Wspomniała to i jedna z najpiękniejszych w Chicago świątyń. Wogóle wszystkie polskie w mieście tem dzielnice mają swe nazwy od znajdujących się w nich kościołów. A więc mamy tu: Wojciechowo, Kantowo, Jackowo, Jadwigowo itp.

„Stanisławowo“ — to dzielnica stołeczna: Mieszczą się tu główne polskie *business'y* redakcyje i drukarnie polskich gazet, polskie restauracyje i salony oraz polskie sklepy. Na Division, Dickson, Holt i Noble ulicach slychać tylko język polski i polskie widać twarze.

Czyś slyszal kiedy, szanowny czytelniku, Chińczyka, mówiącego po polsku? Może się niejednemu mieszkańcowi Przemysława grodu zdarzało rozmawiać w swoim rodowitym języku z „chińskim kosulem“ — ale mówić po polsku z prawdziwym Chińczykiem — chyba nie.

A jednak trafiło mi się już rozmawiać tu z synem państwa Niebieskiego po sarmacku: Mieszka ów Chińczyk ze dwadzieścia lat w Chicago i wciąż w polskiej dzielnicy — więc, zamiast po angielsku, — nauczył się po polsku, ku wielkiemu zadowoleniu klientów, przynoszących mu bieliznę do prania. Trzeba bowiem wiedzieć, że w kraju tym rolę praczek odgrywają Chińczycy. W każdym najmniejszym nawet miasteczku amerykańskim jest zawsze kilku Chińczyków, trudniących się „opierunkiem“. Jak u nas destylacją — tak i tu „celestyusze“ zagarnęli praczkarstwo. I dziwna rzecz: naród, sam z przyrodzenia tak brudny — dzierży w swych rękach czystość różnych ludów, zamieszkujących Stany Zjednoczone.

Czasy poprawiają się znacznie. „Wuj Sam“ zamknął się dziesięciu ryglami przed całym światem i drwi — z całego świata. Pszenica obrodziła, jak rzadko; w Europie, skutkiem nieurodzajów i powodzi, wielki popyt na zboże, więc Ameryka ładuje tyśiące okrętów i karmi pół świata, naturalnie za grube pieniądze.

Kto żyje, lub nie ma z czego żyć — jedzie na łeb na szyję do Alaski po złote runo. Yukon river, Dawson City i Klondike — to trzy magiczne słowa, pozostające obecnie u wszystkich na ustach. W gazetach podają najdziwniejsze wiadomości z tej nowej, tylko strasznie zimnej Kalifornii. Pewien wytrwały młodzieniec w przeciągu 3 miesięcy wykopał 5 milionów złotego kruszcu. Inny znowu w tydzień stał się milionerem. I takie nowiny codziennie. Nic dziwnego, że złota febra opanowuje nawet zdrowe organizmy. Kobiety organizują się w kluby i jadą do Alaski. Parowce nie mogą zabierać dla braku miejsca wszystkich amatorów złota. Ale w zimie — będzie tam głód, głód na polach złotych... Brak pasów żywności daje się już obecnie odczuwać — i bogaczów, objuczonych worami złota, czeka śmierć — głodowa. A złota w Klondike i okolicach jes

SPORNY & RADZIMSKI, Poznań Wrocławska ulica, narożnik Starego Rynku 60.
Materje na suknie, welniane i do prania, płótna, stolowizna, kobierce, firanki.

podostatkiem. Są miejscowości, gdzie z tommy piasku dobywają rodzimego złota na 800 dolarów. I podobno cała olbrzymia część Alaski tak jest złotodajna. Ale klimat, niebezpieczeństwa podróży, brak żywności i obfitość awanturników, nie wzdrzających się przed morderstwem — wyprawę po złote runo czynią arcyryzykowną.

NAM NIE WOLNO!

Gdy z postępu nowym wiekiem,
W proch runęły dawne bogi,
Wszystko, co się zwie człowiekiem,
Spieszmy rażno w nowe drogi.
Nowe hasła błysły światu,
Nowa gwiazda ludom świeci;
I dziś — szydzą nawet dzieci,
Ze swych dziadów majestatu!
Lecz choć świat dzisiejszy cały,
Łaje przeszłość niędolną,
Z przeminionej szydzić chwali
Nam nie wolno!

Wrogów przemoc, co nas gnębi,
Wie to dobrze — zbyt rozumna,
Że gdy serca nam wyziebi,
Z ziemi naszej będzie trumna!
I rozumie dobrze ona,
Że w Polaku zabić ducha,
Rzecz pewniejsza od łańcucha...
Bo bez ducha naród skona.
Lecz się ludzą środki temi
Chcąc nam zadać śmierć powolną,
Bo my wiemy — że iść z niemi,
Nam nie wolno!

Niechaj ludy pasożytne,
Co się naszej krwi opily,
Rwą sztandary starożytne,
I beczeszczą nam mogiły!
Niechaj szydzą z naszych marzeń
I nas w swoje ciągnąc błoto,
Sami pełni zbrodni, skażeń,
Po nad wszystko stawiają złoto...
Dostyc złota Polska miała,
By ich kupić była zdolną!
Sprzedać dumy, co została:
Nam nie wolno!

Chociaż orla skuto w pęta,
I podcięto silne skrzydła,
Dawny lot swój on pamięta,
I niewola mu obrzydła.
Z węzłem, zległym w norze ciemnej,
Nie zamieni swojej doli,
Bo on więzy swoje woli,
Od wolności tak nikczemnej.
Ludy co się zbyły ducha,
Mogą wiarę mieć dowolną!
Iść wraz z niemi do łańcucha:
Nam nie wolno!

My rycerskich rodów syny,
Mamy inne od nich drogi:
Drogie ojców nam wawrzyny,
Drogie ojców stare bogi.
Piers okujem w stal wytrwania,
Serce wiara nam rozpałi!
Gmach niewoli, gdy się zwali,
Przyjdzie chwila zmartwychwstania!
Ale, pókiśmy w niewoli,
Póki matka nie jest wolną;
Synom — dzielić wrogów doli,
Nam nie wolno!

Dla „Pracy“ nadesłał St. G...

Przedruk wzbroniony.

ESTERA.

Komedia romantyczna w 3 aktach ze śpiewami
napisana dla „PRACY“
przez
Feliksa Bobowskiego.

(Dokończenie).

Scena XII.

Ciż, Wosiński i Pomorski.

POMORSKI.

Co, znowu cyganka?!

WOSIŃSKI.

Jadwiniu, co robisz?

POMORSKI

(rozrywa ręce Alfreda i Estery i mówi do Jadwigi:)

I pani, pani im do...

JADWIGA.

Nie przeszkadzaj im pan, oni się kochają, a miłość zwycięża wszystko.

POMORSKI.

Co? mój syn z cyganką? Nigdy!

ALFRED (cicho do Jadwigi:)

Nie mówiłem pani?

JADWIGA (na stronie).

Cicho (głośno). Przypadek odkrył wszystko i teraz nic więcej, nie pozostaje, jak..

POMORSKI.

Jak ich połączyć!.. O nie, na to nie pozwolę nigdy. Jak też to ci młodzi wszyscy mają pstro w głowie! I pani rzeczywiście sądziła, że ja kiedyś pozwolę na ten haniebny związek? Ja miałbym kłaść mój herb, czysty dotychczas, takim postępkim? (do Alfreda) Nie, idź synu niegodny, idź, czyni co ci się podoba. Ja nie chcę słyszeć o tobie. Możesz żyć z nią. Zamienisz się wkrótce sam w cygana, ale mnie daj pokój. — Ach dziwię się, że żyje jeszcze.

ESTERA.

Nie panie, nie on, ale ja pójdę i zostawię wam wszystkim pokój. Czy sądzisz pan, że ja narzucać ci się będę. Kocham go, kocham go miłością wielką, lecz nie rościłam sobie nigdy pretensyi, aby się z nim kiedykolwiek połączyć, dla tego to przed rokiem uciekłam, aby w strony pańskie już więcej nie zajrzeć, a gdy dzisiaj przez przypadek, jakiś szczególny zbieg okoliczności, zeszliliśmy się znowu, czy nie chciałam to samo uczynić? Wstrzymało mnie i to ta oto zacna kobieta, pocieszając mnie nadzieją, że pan się dasz nakłonić. — Ja... wiedziałam o tem, że do tego nie przyjdzie, zostałam jednak, lecz teraz pożegnaj was, a w tej okolicy nie ujrzycie mnie więcej. — Przemocą nie chcę zawierać żadnych związków, bo czy i życie takie nie byłoby wiecznymi kajdanami? Żegnaj cię Alfredzie! Bądź szczęśliwym, zapomnij o mnie (chce wychodzić).

JADWIGA (wstrzymuje ją).

Panie nie rób syna twego na zawsze nieszczęśliwym, czyż zresztą nie widzisz w każdym słowie tej kobiety zacnego charakteru? To niezwykła cyganka!

WOSIŃSKI.

Doprawdy, nigdy bym się tego po cygance nie spodziewał.

JADWIGA (do Pomorskiego).

Węzeł pomiędzy panem Alfredem, a mną po tem co zaszło, na zawsze zerwany. I cóż mu pozostanie? Nieszczęście. Bogatym on jest dosyć, a lepszej żony szukać nie potrzebuje, to zacny charakter,

to nie zwykła cyganka. Gdybyś pan był słyszał, gdy w mojej nieobecności z wielkiem poświęceniem chciała opuścić to miejsce, namawiając Alfreda, aby zamilczał dzisiejszy przypadek i swoją drogą szedł dalej, nie krepował się nią, zapomniał o niej. Niestety całej tej rozmowy byłam pomimowoli niewidzialnym świadkiem i teraz dziękuję Bogu, że tak się stało, że to dziś nastąpiło, inaczej bowiem, byłibyśmy oboje nieszczęśliwi przez całe życie. Rana serca mego, Bóg da zagoi się może niezadługo, a nie przestanę Bogu dziękować, że mnie zachował od małżeństwa bez wzajemnej miłości. Uczynił pan to dla miłości ku Alfredowi, uczynisz go pan szczęśliwym, pozwalając mu wziąć tę, która kocha, a on nie przestanie cię błogosławić.

POMORSKI.

O zacna pani! Tyle poświęceń! Czemż Bóg nie pozwolił mieć mi ciebie za synową!

JADWIGA.

Bóg chciał inaczej, do Jego woli zastosować się trzeba.

WOSIŃSKI (całuje córkę w czoło).

Moja ukochana córko, Bogu niech będą dzięki za ten skarb, jaki mam w tobie, a tobie niech raczy wynagrodzić twoje zacne szlachetne serce! (Do Pomorskiego) Ja na twojem miejscu nie przeszkadzałbym Alfredowi, bo nie ma nic gorszego, jak małżeństwo przeciw woli.

POMORSKI.

Więc i ty nawet...

WOSIŃSKI.

Bóg tego chce.

POMORSKI (do Alfreda).

Dobrze więc, weź ją. Pamiętaj jednak, że jak sobie pościelesz, tak się wypisz. Ja nie chcę wiedzieć o niczem, umyjam ręcę od wszystkiego. Życie me złamane na zawsze; miłość ojcowska wszakże zwycięża wszystko, bądź więc szczęśliwym, ja od dziś nim nie będę (siada).

ALFRED.

O nie drogi ojcze, nie w ten sposób chcę uzyskać twoje pozwolenie. Nie, wolę poświęcić wszystko, nawet ją, ale tobie, któryś mi dał życie, któryś przez całe swe życie starał się o mnie, nie chcę zatruwać życia. Lepiej, że ja je poświęcę. Poddaję się zupełnie woli twojej, jak się poddawałem dotychczas. Gnany posłuszeństwem chciałem unieszczęśliwić tę zacną istotę, która za moje złe postępowanie dziś tak gorąco stawia się za mną. — Śmiałem sądzić dotychczas, że rana moja zagoi się może powoli, dziś jednak nastąpiła rezygnacya, dziś gdy ujrzalem jeszcze raz Estere i gdy walka tych dwóch zacnych ofiar, na którą ją, który byłem przyczyną wszystkiego, patrzeć musiałem wypadła na moją korzyść, poznałem, że niegodzien ani jednej, ani drugiej, dziś poddaję się i uczyni ze mną co chcesz, tylko mnie nie odpychaj, odbierz mi mienie, nazwisko, ale nie odmawiaj mi twego błogosławieństwa.

POMORSKI.

Wszakże powiedziałem już, że nie sprzeciwiam się więcej.

ALFRED (kłęka i całuje rękę ojca).

Tak, ale błogosławieństwo twoje ojcze! O nie odmawiaj mi go. Wiedz, że nie przestanę ci się nigdy odwdzięczać i wiem, że nie będziesz miał nigdy powodu skarżyć się (wstaje).

POMORSKI.

Tak, a oni, państwo Wosińscy, czy mogą nam kiedykolwiek przebaczyć.

JADWIGA.

Ja już przebaczyłam i z całego serca życzę szczęścia.

WOSIŃSKI

I ja przebaczam z serca. Niech będą szczęśliwi!

POMORSKI.

Jeżeli tak, to niech się dzieje wola Boża. Wszakże miłość rodzicielska zwycięża wszystko.

ALFRED.

Ach ojcze, jakiś ty dobry... Estero tyś moją.

ESTERA (klęka z Alfredem).

O panie! Bóg wielki, który jest w niebie, niech ci to wynagrodzi.

POMORSKI.

(kładzie ręce na głowy klęczących i mówi:)

Niech wam Bóg błogosławi...

JADWIGA.

(patrzy rozczulona na tę scenę, po chwili wydaje jęki i pada zemdlona na ziemię. Wszyscy spieszą ku niej).

Zastona spada. — Koniec aktu II-go.

Pomiędzy II-gim a III-cim aktem upływa pół roku.

Akt III.

(Scena przedstawia mieszkanie Alfreda. Gustownie umeblowany salonik. Za odkryciem kurtyny siedzi Estera z robótką w ręku i nuci półgłosem.)

Scena I.

Estera sama.

ESTERA (śpiewa półgłosem.)

Zawszem wesola, zawszem szczęśliwa,
Miłość i szczęście w koło mnie gości.

Lubo i błogo czas mi upływa

W szczęściu, radości, miłości!

Scena II.

Estera, Alfred.

ALFRED.

Mój słowiczek już śpiewa? Dzień dobry! (Estera podaje mu czoło, które on całuje) Ależ Estero, że też ledwo przetrzesz oczy, już musisz pracować.

ESTERA.

To mi przyjemność sprawia, chyba, że ty jesteś przy mnie (odkłada robótkę).

ALFRED.

Wiesz żonko, jaka jest najnowsza wiadomość, ważna dla nas?

ESTERA.

No, co się stało?

ALFRED.

Jadwiga Wosińska wychodzi za mąż.

ESTERA.

Jadwiga? Dzięki Bogu!

ALFRED (podaje list).

Ot czytaj.

ESTERA (czyta).

Mam zaszczyt niniejszem uprzejmie donieść, że córka moja, Jadwiga zaręczona została z panem Władysławem Radońskim z Radonia. Wosiński (mówi). Nie uwierzysz mi Alfredzie, jak mnie to cieszy, nie będą mnie już więcej wyrzuty, żem jej ciebie wydarła, męczyły.

ALFRED.

I mnie to bardzo cieszy, boć co do wyrzutów, to mnie się one przedewszystkiem należą.

ESTERA.

A co to za pan Radoński?

ALFRED.

Musisz go przecież znać, bo był tu już kilka razy. Nie przypominasz sobie, że ciotka Elżbieta jakieś dziwne pomiędzy wami widziała podobieństwo?

ESTERA.

Ach to ten?

ALFRED.

Tak. To dobra partya. Bogaty, przy stojny i bardzo miły chłopak. Przez przypadek powiększył się jego majątek o połowę, choć i tak był obszernym.

ESTERA.

Przez przypadek?

ALFRED.

Tak, On, mając dwa lata, wraz z młodszą siostrą Haliną, pół roku liczącą zostali sierotami. Ojciec nawet przed przyjściem na świat Haliny był umarł. Obszerny majątek, jako i sieroty wziął stryj ich pod swą opiekę. Naraz, gdy Halina może trzy kwartały liczyła, przepadła bez wieści. Wszelkie poszukiwania, ogłoszenia były daremne, znikła, jak kamień w morzu.

ESTERA.

Co mówisz, Alfredzie?

ALFRED.

Tak i do dziś jej nie ma. Władysław wskutek tego został dziedzicem całego majątku, naturalnie pod zastrzeżeniem, że gdyby Halina miała się w przeciągu 30 lat znaleźć, zobowiązanym jest, połowę swego majątku jej wrócić. Władek liczy może teraz 24 lat, 22 więc już upłynęło od czasu zniknięcia Haliny.

ESTERA.

Ale jakże się to stało?

ALFRED.

Przez nieuwagę nianki najprawdopodobniej i o ile przypuszczać można, dziecię porwane zostało przez cyganów. Taki przynajmniej rezultat można wnieść ztąd, że przeszukali wszystkie wody w okolicy i nigdzie nic nie znalezione.

ESTERA.

To okropne!

ALFRED.

Tak — dziś już prawie zapomniano o tem, ale, jak opowiada ojciec, Radoński długo nie mógł się być uspokoić. Władysław zaś, gdy skończył lata, wziął cały majątek w posiadanie, lecz ręczę, że gdyby odnalazł siostrę, chętnie by się z nią podzielił. On ciągle jeszcze wspomina o niej. Młodzieńcem będąc odnowił wszelkie poszukiwania, przyrzekał nagrody, daremnie jednak.

ESTERA.

O Boże, jakie smutne losy nawiedzają ludzi. Przedewszystkiem cieszy mnie bardzo, że Jadwiga wychodzi za mąż, dowodzi to, że ukoila już swą boleść.

ALFRED.

Przeczuwałem ja zamiary Radońskiego, mówiąc z nim o Jadwidze, lecz nie sądziłem, aby ostatnia się zdecydowała.

ESTERA.

Co ojciec mówi na to?

ALFRED.

Nie wie jeszcze, lecz i on się z pewnością ucieszy, bo od czasu, gdy nas

połączył, a ciebie tak bardzo pokochał, nie mógł wyżałować, że Wosińskim tyle narobił zmartwienia, że zaraz na związek nasz nie pozwolił.

ESTERA.

Nie uwierzysz mi, kochany Alfredzie, jak ja się cieszę, że ojciec twój mnie pokochał. O! ile ja szczęścia zawdzięczam tobie!

ALFRED.

A ja tobie, najdroższa! (słychać dzwonek) Cóż to za ranni goście?

Scena III.

Ciż i Jan, później Turbani.

JAN.

Jakiś człowiek chce koniecznie mówić z panią hrabiną.

ALFRED.

Kto taki?

JAN.

Nie wiem. Jest to podeszły w wieku mężczyzna, silny...

ALFRED.

Jak się nazywa?

JAN.

Nie powiedział.

ALFRED.

Spytaj się. (Jan wychodzi, po chwili wraca).

ESTERA.

Któż to może być?

JAN.

Nazywa się Turbani.

ESTERA.

Turbani? Ach Alfredzie, pozwól mu przyjść. (szepce Alfredowi do ucha).

ALFRED.

Owszem, Aniele.

ESTERA (do Jana).

Proś.

JAN.

Dobrze. (wychodzi).

ESTERA.

Kto wie, jaką mi wiadomość przynosi.

ALFRED.

Ja się usunę.

ESTERA.

Nie, zostań Alfredzie.

TURBANI (wchodzi, kłaniając się).

ESTERA.

Turbani, co mi przynosisz?

TURBANI.

Bardzo ważną tajemnicę chciałbym wyjawić, lecz...

ESTERA i ALFRED.

Tajemnicę?

ALFRED.

Może przeskadzam...

ESTERA.

O zostań luby. (do Turbaniego) Możesz mówić śmiało.

TURBANI.

Od czasu, jak opuściłaś pani nasz obóz, same nieszczęścia spadały na niego, tak, iż ykrótce opuścili mnie wszyscy i zostałem sam jeden.

ESTERA.

Ach!

TURBANI.

Nie pozostało mi więc nic więcej, jak zająć się pracą rąk. Udałem się więc za robotnika i na szczęście do poczciwych

Cygara, papierosy i tytoń poleca w wielkim wyborze Skład cygar itd. W. Mroczkiewicz, ul. Rycerska nr. 40. Towar rzetelny. Ceny umiarkowane.

udzi, którzy ze mnie, który w nic więcej nie wierzyłem, jak w moją siłę, zrobili człowieka, który czuje, cierpi, zażywa rozkoszy, wierzy w duszę.

ESTERA.

To pięknie, wszak poznałeś teraz prawdziwe szczęście?

TURBANI.

O i tak jestem szczęśliwy. Jedna myśl tylko trapi mnie nieustannie. Wyrzuty sumienia dokuczają mi coraz więcej. Z obawy przed karą milczałem dotychczas, lecz dłużej milczeć nie mogę, bo nie mógłbym z tą straszną tajemnicą umrzeć spokojnie. Bądź co bądź więc, postanowiłem wyjawić ci pani, dzisiaj. Jeżeli chcecie, ukarżcie mnie stósownie do przestępstwa, bom zasłużył.

ESTERA.

Ta tajemnica mnie się tyczy?

TURBANI.

Tak pani ciebie, bo oto...

ALFRED.

Jej? Mów więc.

TURBANI.

Powiem panie hrabio, powiem wszystko, ta oto, obecna żona twoja, hrabio... nie jest urodzoną cyganką.

ESTERA i ALFRED.

Co?

TURBANI (wzruszony).

Jest ona córką zmarłego od dawna cześnika Radońskiego, dziedzica Radonia.

ALFRED.

Halina Radońska?

ESTERA.

Co mówisz Turbani? Ale jakże się to stało?

TURBANI.

Gdyś pani dziecięciem była, wykraǳłem cię haniebnie, aby potem kiedyś zyskać na tem materyalnie. Jest temu może lat 22...

ALFRED.

To potępienia godny postępek.

TURBANI.

O tak wiem o tem, chętnie też poniosę karę za niego, bo dziś nie jestem już cyganem.

ESTERA.

Nie obawiaj się Turbani, my ci wszystko przebaczymy.

ALFRED.

Estero, Halino, to ty, ty jesteś siostrą tego Radońskiego, szlachcianką, dziedziczką obszernych włości. O ile ty nieślusnie wycierpiałaś. Widzisz Estero, ja zaraz mówiłem, że to jest niepodobnem, abyś ty była cyganką. O jakże się cieszę!

Scena IV.

Ciż i Pomorski.

POMORSKI (wchodzi zdziwiony).

Co się tu stało?

ALFRED.

Ojczy, ojczy, czy wiesz, kto jest moja żona? Córka cześnika Radońskiego, ta zgubiona sierota.

POMORSKI.

Ale, co ty opowiadasz?

ALFRED (wskazuje Turbanię).

To herszt obozu cygańskiego, który dzisiaj tę wielką wyjawił tajemnicę.

POMORSKI (do Estery).

Więc ty moja córko, miałabyś być córką cześnika Radońskiego? To ty jesteś Halina Radońska uważana za zmarłą. (po chwili) Tak, ale dowody, dowody na to.

TURBANI (rozwiązuje paczkę).

Za jedyny dowód służyć może ta otok sukienka Estery, w której skradzioną została.

POMORSKI (ogląda).

Tak, to ich herb. Zgadza się. O jakże się cieszę. Więc spokrownieni jesteśmy z Radońskim.

ALFRED.

Tak, a tem samem wkrótce i z Wosińskimi, bo Jadwiga wychodzi za Władysława Radońskiego.

POMORSKI.

Co mówisz?

ALFRED (podaje list).

Czytaj.

POMORSKI.

Doprawdy. (do Estery) O moja córko droga, niech cię uściskam (całuje ją w czoło).

ESTERA.

Sądzę, że przebaczymy jemu (wskazuje Turbanię) wszystko.

ALFRED i POMORSKI.

Przebaczamy, przebaczymy!

TURBANI.

Pan Bóg to państwu wynagrodzi. (wychodzi).

JAN (stawa we drzwiach).

Śniadanie gotowe (wychodzi).

POMORSKI.

Ale powiedzcie mi, jak się to stało.

ALFRED.

Chodźmy ojczy, przy śniadaniu opowiem ci wszystko. (do Estery, podając jej ramię) Widzisz Estero, gdyby prędzej było wiadomem, nie byłibyśmy tyle wycierpiełi. (całuje jej rękę).

ESTERA.

Nie mów tego! Alfredzie, bo wtenczas nie byłabym tak pewną, że wzięłaś mnie z prawdziwej bezinteresownej miłości. (wszyscy wychodzą na lewo).

Zastona spada. — Koniec aktu III i ostatniego.

Dla Pań. NA JESIEŃ.

„Minał czas złudnych uniesień,
Nastala jesień...”

Miasto zaroilo się mrowiem mieszkańców, którzy przez lato, zdala od murów Poznania, poili się świeżem powietrzem, a dziś, jak te ptaki wędrownie, szukają na zimę schronienia. Trzebaż przystroić się w nowe piórka, zastosowane do pory roku.

Minał czas złudnych uniesień,
Nastala jesień...

Więc batysty, muśliny i piki idą pod klucz, a natomiast z odmetów nicości wychodzą na świat nowe arcydzieła bogini mody.

Nie obyło się przytem bez zamachu na tę potężną władczynię.

Rzecz niesłychana. Dotychczas chyba w jakiejś gazecie lekarskiej spotykało się od czasu do czasu artykuł krytyczny o szkodliwości niektórych części ubrania damskiego. Żeby jednak uwagi takie zdołały się przecisnąć do szpalt dziennika mód, to rzecz nieprawdopodobna, a jednak... prawdziwa.

Doktor Maréchal w *Revue de la Mode* proponuje gruntowną reformę ubioru damskiego na korzyść higieny, z uwagi na to, że wadliwa forma odzieży tamuje prawidłowy obieg krwi i broni dostępu powietrza do organizmu. Główne pociśki przypadły w udziale przeładowanym róż-

znemi ozdobami (?) kapelusjom niewieścim i gorsetom.

Doktor Maréchal utrzymuje, mianowicie, iż patologia zyskała od pewnego czasu nowe postaci chorób mózgowych i wewnętrznych, które dwom wyżej wymienionym częściom ubrania zawdzięczają głównie swoje pochodzenie. Wobec tak smutnego wyniku kaprysów współczesnej mody, rozswawolonej pod berłem niewieściami, kobieta, zdaniem dra M., powinna troskę o swoje ubranie oddać w ręce doktora i artysty; sama zaś działać jedynie na polu doboru barw w strojach, które to pole dzisiaj leży jeszcze odłogiem.

Od takiego podziału pracy w sterowaniu modą higienista francuski spodziewa się niechybnych korzyści zarówno dla higieny, jak estetyki. Mogłoby tak być w istocie, bo pod sterem męzczyzny stroje niewieście może uwolnić się od różnych dziwacznych pomysłów, które wywołały słusne zdanie pana de Lespinasse, że „kobieta byłaby w rozpacz, gdyby natura stworzyła ją taką, jaką z niej robi moda”.

Czy jednak taka reforma kiedykolwiek się ziści?

„Ludzie ze szkodą gonią za modą“, a „moda—niewygoda“ głoszą znane nasze przysłowia.

Czy więc dziś moda przestraszy się tego nowego wezwania? Czy też usmiechnie się tylko filuternie i dalej broić będzie?..

Bądźco bądź doktor Maréchal sprytnie atak swój obmyślił, gdy, chcąc odwrócić uwagę pań od linii strojów niewieścich, wskazuje im natomiast w dziedzinie mody, jako nowe pole działania — świat barw!

A barwa materyału, w zastosowaniu do kolorytu twarzy, to warunek nieodzowny ładnej sukni, to niezbęalne tło kolorystyczne, na którym dopiero wydać się mogą należycie piękne linie „kroju”. Kolor i gatunek materyału grają tedy w sukniach rolę pierwszorzędną.

Cóż nowego w tej dziedzinie.

Na tegoroczną jesień i zimę największe powodzenie obiecuje sobie aksamit i kaszmir. Nadewszystko aksamit.

Nie mówimy tu o zwyczajnym jedwabnym aksamicie, który nigdy, zapewne, z pola nie ustąpi, ale o aksamitach fantazyjnych, które już w Paryżu doznały bardzo życzliwego przyjęcia. Na rozmaitości bowiem nie zbywa: są zielone, fioletowe, popielate, brązowe, ale to wszystko w odcieniach niezdecydowanych, płowych, łagodnych. Najmodniejszym będzie kolor *Abbesse*, który, wedle określenia tygodnika *l'Art et la Mode*, przypomina „promień słońca, padający przez szafirową szybę starożytnego kościoła na kornet zakonniczy”.

Pamiętajcie tedy, piękne czytelniczki, o tym kolorze przy sprawianiu nowego kostiumu; zobaczcie go koniecznie, lecz użyjcie go na suknię tylko w takim razie, jeśli do kolorytu... waszych twarzyczek się nada!...

Pod względem wyrobu materyałów, nowością tegoroczną będa „*peau de gazelle*“, rodzaj lekkiego sukna, układającego się bardzo ładnie, oraz „*pluie de soie*“, wełna, obsypana, niby deszczem jedwabiu, mnóstwem jedwabnych węzełków.

Wojna na Krecie zwróciła uwagę na hafty kreteńskie, któremi panie zamierzają suknie przyozdabiać, a wraz z haftami mieć będą także wziętość sutasz, pasmantery, galony, aksamitki i guziki — wszystko *à la Crète*.

Pod względem kroju sukien zwrot stanowczy. Suknia jesienna, według najświeższych modeli paryskich, składa się ze spódnicy, szerokiej u góry na 1 m. 30 c., i rozszerzającej się ku dołowi do 3 m. 50 c., a to bądź stopniowo, bądź też w fałdach, idących do połowy, a przymocowanych za pomocą galonu, tudzież ze staniczka, który zatracą powoli wysoki kołnierz i bufiaste rękawy, a natomiast przybiera baskinę poniżej paska. Rękawy się wydłużają i zakończone przy dłoni rąbkami, u góry w małą buflę przechodzą.

Chcesz przystroić się modnie, nadobna czytelniczko, w piękny dzień październikowy?

Oto rada?

Suknia z „*peau de gazelle*“ koloru aluminium, oszyta *ruche*ami z ciemniejszego aksamitu trzy razy pośrodku spódnicy, wokół baskinki stanika i jego wyłogów z białego *peau de soie*. Do tego biały pasek skórzany, na szyi, pod kołnierzykiem, krawat jedwabny lub tiulowy koloru *grenade*, (ale koniecznie *grenade*, bo to najświeższy rozkaz dzienny królowej mody), a na głowie kapeluszy słomkowy z białą mewą na boku, lub toczek z samych skrzydełek.

To kostium najświeższej mody, jak widzimy, różniący się wiele od zeszłorocznego. Zaczyna się reakcja. Niedawno jeszcze niesłychana szerokość spódnicy i rękawów czyniła z dam rzeczywistość „wietrzne istoty“, prawdziwe balony, zdolne unieść się w powietrze za pierwszym silniejszym podmuchem wiatru. Kształty i linie, piękne czy brzydkie, ginęły w nich zupełnie. Dziś idziemy, ba, galopujemy w kierunku przeciwnym. Obcisłość tegorocznej sukni nie wystawia już na zbyt trudne próby domyślności widza. Strzeżmy się jednak, aby nie pójść w tym względzie zbyt daleko. Suty staniczek ratuje wprowadzie jeszcze sytuację, a zarazem swobody ruchów nie tłumi; lecz spódniczka zaczyna być nazbyt niedyskretną i krępującą, ze szkodą zarówno przyzwoitości, jak wygody.

Więc rozsadek nakazuje miarę w stosowaniu tego nowego zwrotu mody.

Ale czy kto usłucha głosu rozsądku? Czy skłonność do nasladownictwa nie zwycięży poczucia przyzwoitości, dobrego smaku i naturalnej dążności do swobody ruchów?

»A ludzie krzyczą, gadają, piszą,

Gdy ja tak mówię, ach! czyż dosłyszają?»

MYSLE O TOBIE.

Myślę o tobie, gdy się gaj rumieni,
W porannej słonka purpurze,
Marzę o tobie, gdy gwiazdka się mieni,
Tam w niebios — dalekim lazurze.
Ja drzę o ciebie, gdy z skalnych granitów
Echo piorunu usłyszę,
Widzę twą postać, gdy z gałęzi szczytów
Wietrzyk listkami kołysze.

Ja ciebie słyszę o wieczornej porze,
Gdy słowik w kłobie piosnką się raduje,
Gdy łódka moja po modrem jeziorze
Piersią głębinę lazuruwie pruje.
Myśmy złączeni węzłami miłości,
Śmierć tylko — rozdzielić nas w stanie,
Daj spocząć sercu pełnemu radości
Przy tobie — me szczęście, kochanie!

Poznań, 25. 9. 97.

A. Kąsinowski.

Z tygodnia na tydzień.

Opowiem wam historyjkę, którą niedawno wyczytałem w pewnym piśmie niemieckiem.

Nie chodzi mi jednak tyle o historyjkę, co o sens moralny, jaki z niej wynika: W prowincyi Kansas w Zjednoczonych Stanach północnej Ameryki miała pójść nowa kolej przez wieś, której mieszkańcy spodziewali się ztąd wielkich korzyści. W ostatniej chwili jednakże kierunek linii kolejowej zmieniono, tak, że wieś byłaby pozostała na boku o jakie 2 1/2 mili. Mieszkańcy wsi poczęli tedy radzić, co by zrobić, aby mieć kolej pod nosem, aż stanęło na tem, aby wieś po prostu przenieść o 2 1/2 mili dalej w stronę linii kolejowej. A że u Amerykanów od postanowienia do wykonania nie daleko, więc zabrano się zaraz do rozbierania kościoła, szkoły i domów, po większej części z drzewa budowanych; pod mniej ciężkie budynki podłożono rusztowania na kołach i przewieziono w całości na miejsce przeznaczenia. O oznaczonym z góry czasie wyruszyli równocześnie wszyscy mieszkańcy z duchowieństwem na czele do nowej siedziby.

Gazety niemieckie, w których to czytałem dodają uwagę: prawdziwie praktyczny rozum! — gazety polskie zaś piszą tylko: prawdziwie po amerykańsku! Ta różnica naprowadziła mnie na myśl, że musi się pod nią ukrywać głębsza przyczyna. Niemiec mówi o tym fackie opuszczenia wsi rodzinnej dla materialnych widoków, jako o czynie chwalebego rozumu; — Polak zaś powie: to po amerykańsku! — jest to praktycznie, prawda, ale... ale nie liczy się wcale z temi tajemnymi strunami polskiego serca, które kazaly ukochać choćby najbiedniejszy kącik rodzinny. Amerykanin, Niemiec — oni opuszczają swe rodzinne miejsce i pójda tam, gdzie lepiej, — bo ich ojczyzna jest tam, gdzie dobrze; — lecz Polak, co ukochał swą rodzinną wioskę, nie przeniósł by jej po amerykańsku gdzieindziej. Proszę mi pokazać takiego chłopka, który by przeniósł swą chatę w tym celu, aby znalazł się bliżej dworca kolei? „Nie, odpowiem wam on, nie pójda; tu się urodziłem i pod tą strzechą chcę pozostać“.

W tem tkwi wielka nasza słabość, ale i wielka siła; a zwłaszcza w czasach dzisiejszych, zmaterializowanych jak mało, ta siła nieliczenia się z materialnymi korzyściami wielu cichym pracownikom kładzie stempel wielkości na czoło.

Rozpatrując życiorysy ludzi, którzy niegdyś dokazywali cudów energii i wytrwałości — mimowoli musisz powiedzieć sobie, — nie, czasy Demostenesów, Franklinów i Bonapartych minęły bezpowrotnie. Dziś już trudno o ludzi, którzyby umieli silnie chcieć, śmiało pożądać i pracą a wytrwałością osiągać zamierzone cele. Historia genialnego wynalazcy amerykańskiego — Edisa, wydaje się nam nieprawdopodobną bajką zaoczną; jego żądza wiedzy i żelazna wytrwałość, przedstawiają się nam legendowo, jak gdyby należały do innej, jakiejś minionej dawno epoki.

W gruncie rzeczy jednak i wśród spokojnych, apatycznych społeczeństw dzisiejszych, tkwią ukryte gdzieś w niem niespożyte siły energii i wytrwałości. Pokrywa je szarzyzna życiowa i tylko

od czasu do czasu ukazują się naszym oczom.

Ale nie znaczy to, aby ich nie było. Są one, jest wytrwałość i energia — skierowana ku obronieniu ukochanego zakątka ziemi.

Lecz przejdziemy do weselszego tematu.

Już widzę, jak się krzywi poczciwy zecer, nie mogąc przeczytać mojej bazgraniny — skorzystam przeto ze sposobności i wypalę tu na pieńku — reprimende o wyraźnem, czytelnem pisaniu. Dziś mnóstwo ludzi wykształconych zgola się nie troszczy o sztukę ładnego i wyraźnego pisania, a nawet wręcz ją lekceważy. Wada to karygodna, bo naraża bliźnich na daremną stratę czasu i nadmierne znużenie wzroku, a nadto powoduje w życiu nielada pomyłki lub nieporozumienia.

I oto błędą sobie listy po szerokim świecie skutkiem nieczytelnie położonego na nich adresu; mylą się ludzie w interesach z powodu niewyraźnego tekstu otrzymanej korespondencji czy oferty, lub zawartego kontraktu; błędami drukarskiemi, niekiedy wypaczającemi myśl przewodnią autora, jeżą się nasze dzienniki i książki, dzięki hieroglificznej postaci rękopisów autorskich; czasami i akt urzędowy, ku wielkiemu kłopotowi osób interesowanych, przekreśli jakiś adres lub nazwisko, z powodu, iż piszący mylnie odczytał niewyraźne pismo metryki lub innego dokumentu; nakoniec, w biurach rządowych i prywatnych bynajmniej nie są wyjątkami wypadki, w których referent błędnie zrozumie i wykona decyzję odręczną swego zwierzchnika, wciągnięty sfinksowem jego pismem w matnię pomyłki.

Mam przedłużać szereg podobnych przykładów?

Raczej przypomnieć się godzi, iż nie wyczerpują one złych następstw nieczytelnego pisma, które okok podobnych możliwych szkód, zdarzających się rzadziej lub częściej, powoduje nadto zawsze mniej dotkliwą na pozór, lecz nieuchronną i w sumie bardzo wydatną krzywdę ludzką.

Literat lub dziennikarz, ku strapieniu zecera drobnym maczkiem pisząc swój artykuł, zwykły śmiertelnik, kreślący na listach adres nieczytelny, kupiec, niewyraźnym pismem notujący swoje zlecenia, dygnitarz biurowy, dumny z „odrębności“ swojego pisma — wszyscy oni nadmiarem pracy obarczają tych, co, ślęcząc nad odcyfrowaniem ich hieroglifów, wysilają muszą wzrok i domyślność, i tracąc darmo bardzo wiele czasu.

„Czas to pieniądź“ powtarzamy bezzmyslnie za Anglikami; ale jak rzadko stosujemy tę zasadę w życiu... — *skt.*

KRONIKA.

Przed kilku dniami przybył do mnie mój przyjaciel, Protazy — czytelnicy go już znają, ale nie wiedzą, że chociaż to mój przyjaciel, rzadko kiedy jesteśmy równego z sobą zdania. Pomimo tego cieszę się zawsze na jego przybycie, bo znieś mi więcej nowinek, jak chciałem napisać jak kilka cór Ewy — ale wołę się powstrzymać i napisać jak najgadatliwszy dziennikarz.

Gdy go ujrzał, zapytałem zaraz — Cóż nowego?

— A zaraz, co nowego! — odmruknął mój przyjaciel — myślisz, że nie wiem, jak mię wyzyskujesz, tu słuchasz, a co podsluchasz, napiszesz do „Pracy“.

Nie doczekanie twoje.

— Ależ, choćby tak było — czyż nie wiesz, że się to dzieje dla publicznego dobra?

Uśmiechnął się ironicznie. — Każdy się zasłania dobrem publicznym, choćby nie wiem, jakie brednie wypisywał!

— Czy może do mnie pijesz? Proszę cię nie obrażaj mię!

— Uderz w stół, nożyce się odezwą. — Cóż ty myślisz, że tobie jednemu wolno krytykować — he! A niezawisłość krytyki, a wolny głos obywatela! — woła Protazy zaperzony!

— No! no! dobrze! Nie będziemy się sprzeczać, lepiej mów, co nowego?

— Nowego? A no już pewno wiesz, że Kornel Ujejski umarł?

— A jakżeż!

— Ale tego nie wiesz, że Poznań zdobył się na dwie msze żałobne za spokój duszy wielkiego wieszczca, i że na jednej były pustki w kościele, jak się tego było można spodziewać, a na drugiej było osób dużo, ale nieomal same tylko kobiety.

— Istotnie, jak na Poznań dużo oznak żalu. Przypominam sobie, że śmierć Elego minęła prawie bez żadnych objawów żalu u nas.

— Ba! jeszcze nie wszystko — jestem rozczulony Poznaniem — mówi Protazy. Jedno z tutejszych pism ludowych urządziło naprędce składkę i wysłało piękny, rzeczywiście piękny wieniec na grób zmarłego poety.

— Ach! To bardzo ładnie. Ujejski był wielkim miłośnikiem ludu — taki objaw współczucia i czci słusznie mu się należał. Ale powiedz mi, któreż to pismo było?

— Ach! — rzecze Protazy z wahaniem, wiem, że co usłyszysz, wszystko napiszesz — dla tego nie wymienię pisma, bo widzisz, najpierw wyglądałoby to na reklamę, a powtóre ja jestem człkiem neutralnym, nie popieram nikogo. Jedno mię zadziwia, że pisma, które się mieniają być ludowemi w takich razach bardzo nie wiele czynią.

— Wytlómaczę, ci to — mówię do Protazego. Redaktorzy pism ludowych są ludzie skromni i potulni, nie lubią reklam, więc milczą.

— Ha! ha! zaśmiał się na całe gardło Protazy.

— Czego się śmiesz?

— Jakto, czy mi się śmiać nie wolno? Proszę!

Pominałem milczeniem te wybuchy zgryźliwości Protazego i rzekłem!

— Wiesz co? Skoro jest trochę sympatii dla ś. p. Ujejskiego — nie byłoby dobrze, abyśmy pocichu zbierali fundusik...

— O! dalipan, już mu się fundusiku zachciewa!

— Ależ pozwól mi dokończyć — abyśmy zaczęli zbierać po cichu składki na pomnik dla Ujejskiego, bo w Galicji pewno pomyslą o tem, moglibyśmy nasze składki do tamtych dołączyć, ponieważ o ustawieniu pomnika dla twórcy „Chorału“ u nas nie ma wcale mowy.

W czasie gdy mówiłem, spostrzegłem, że w Protazym zaszła dziwna zmiana — poczerwieniał cały jak burak — a ledwom skończył, wrzasnął mi nad uchem:

— Złodziej!...

— Ależ mój drogi tego za wiele — to nawet w parlamencie austriackim uchodzi za obrazę.

— Złodziej — złodziej! Ukradłeś mi myśl moją, ale zanim ty zdążysz swoje gryzmoty wysłać, ja pobiegnę do „...“ — to inny organ, jak twoja „Praca“, miły Gerwazienku — człowiek ma swoje stosunki — i złożę tam 10 mk, na pomnik dla piewcy boleści narodu.

— Jeżeli to zrobisz — daruję ci nieprzyjemny epitet.

Protazy porwał za czapkę i wybiegł jak oparzony. — Uspokoilem się, wiem, że nie da — znam go!

Po chwili jednak wrócił i we drzwiach zawołał drwiąco.

— Panię projektodawco!

— A czego panie ofiarodawco?

— A wiesz ty, że „Stella“ rozpisła konkurs na napisanie prologu scenicznego na uroczysty obchód stoletniej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. A wiesz ty, że to prawie jakby moja myśl, bo stałem obok tego, co ją podawał, i właśnie to samo chciałem powiedzieć.

— Protazy jesteś wielkim!

Odszedł chwala Bogu! Czas zabrać się do Miłosławia na sejmik „Spółek Zarobkowych“, rzecz niezmiernie ma być interesująca, po powrocie opiszę.

Tymczasem muszę odwołać obelgę rzuconą na panią jesień, ponieważ pani ta zmieniła fizyognomię i okazuje nam słoneczną twarz — a przyroda jesienna stroi się w różnobarwne kolory — a niebo chociaż już bledsze — jeszcze dość ma błękitu, aby oczarować człeka zropaczonego szarością chmur i — przyszłości.

Zewsząd słycać bowiem pobudkę do ataku. Hakata pobita pod Opalenicą i w Grudziądzu nie traci fantazy i rozżarza dalej ogień nienawiści ku nam. Ba! chce nam nawet odjąć prawa obywatelskie — a raczej resztki praw obywatelskich — bo, że nam chleb chce odebrać, o tem wszyscy wiemy.

Na szczęście próżne są wysiłki tej „furyi teutońskiej“ — (furor teutonicus). Polak szanuje narody — ale boi się także tylko Boga.

W sobotę pan Ryger dał nam „Grochowy wieniec“. Teatralny recenzent pewno obszerniej się rozpisał, ja tu tylko nadmieniam, że jak na pierwszy występ, wołałbym był widzieć mniej u nas znaną sztukę, chociaż z drugiej strony jest „Grochowy wieniec“ utworem bardzo stosownym do rozpoczęcia przedstawień na scenie narodowej.

Gerwazy.

NAD MORZEM.

Pędzi z szumem srebrzysta,
Fala dzika, zwichrzona,
Targa modrą wód szatę
I wyciąga ramiona.

Pruje grzywą spienioną
Szlak mieniący, świetlisty,
Wyje z szału i szumi
Hymn miłości wieczysty.

Oblakana, szalona,
W pył rozbija toń lśniącą,
Bryzga piany biczyskiem,
Szarpie morza pierś drzącą.

Rozkielznana prze naprzód,
Tam gdzie w morzu tkwi skała,
Jakby porwać w ramiona,
Lub paść do nóg jej chciała.

Zdąza cała spieniona,
Coraz bliżej ją czuje,
Już ją tuli w objęciu,
Pierś kamienną całuje....

Wyczerpana, bez siły,
Syta pieścot, znużona,
O sterczący próg skalny
Tłucze czoło i kona.

Okiem gonię zuchwałą,
Rozszalałą, wzburzoną,
Dumam: czemuś nie skałą,
A ja falą zieloną?

Szum jej do mnie uderza;
Chciałbym w morza głębinie
Stać się falą zieloną,
Co u skały stóp ginie.

Chciałbym użyć i umrzeć,
Jak ta fala spieniona,
Co się skałą pieściła
I w uściskach jej kona.

Rozpalonem mem czołem
Chciałbym w skałę uderzyć...
Albo moją być musisz, —
Albo lepiej mi nie żyć?

23. 9. 97.

Witold Leitgeber.

Rozmaitości.

Obrazy widowisk. Jeżeli obecne usiłowania Edisona powiedzą się, będziemy mogli wkrótce napawać się widowiskami teatralnymi bez współudziału aktorów. Dla takich widowisk przyszłości wystarczy pusta scena, zasłonięta białą kurtyną, a po za kurtyną pewna ilość fonografów i kinetoskopów. Widz i słuchacz będą mogli podziwiać najwspanialsze opery i dramaty, z całym przepychem wystawy, z najsubtelniejszymi odcieniami gry aktorów, ich głos, stroje, ruchy, dźwięki orkiestry, nawet słowa suflera. Wszystko to pochwycone i zakłete przez prawdziwego czarodzieja dziewiętnastego stulecia, pozwoli uczestniczyć w przedstawieniach, dawanych o tysiące mil, lub też przed wielu laty, pod warunkiem, że uda się Edisonowi dostatecznie udoskonalić swoich przyrządów. Podobno próby podobnych przedstawień wcale nieźle się udają, chodzi tylko najwięcej o to, aby fonograf pozbawić dźwięku metaliczno-nosowego. Jego nowy kinetoskop może rzucić 48 fotograficznych widoków na sekundę, co zupełnie wystarcza dla ciągłości i dokładności obrazu, który śmiało żywym obrazem nazwać można.

Olbrzymi kanał projektowany jest pomiędzy morzem Bałtyckim a morzem Czarnym, t. j. pomiędzy Rygą a Chersonem. Studya przedwstępne i projekta są już podobno gotowe. Kanał ten o długości 1.600 kilóm. mieć będzie szerokości u góry 65 metrów, na dnie 35 m., a średnią głębokość 8.5 m. Połączy on rzekę Dźwinę z Berezyną i Dnieprem. Na całej prawie długości główne roboty zasadzać się będą na pogłębianiu i regulacji rzek, tylko koło Dynaburga, na długości 120 kilóm., musi być wykopany kanał. Urządzone będą również

porty w liczbie 19, między innymi w Dynaburgu, Kijowie, Ekaterynostawiu, a obecnie już w Rydze i Chersoniu przygotowują się do budowy olbrzymich basenów portowych. Na lewym brzegu Prypeci, pod Pińskiem, ma być założony zbiornik olbrzymi i kanał w tem miejscu połączony będzie z Niemnem i Wisłą. Nawet dla okrętów największych rozliczają szybkość 11 kilom. na godzinę, a więc przy projektowanym oświetleniu elektrycznym całej długości kanału, przejazd z Rygi do Chersonu trwać będzie dni 6. Koszt tej budowy wynosić ma z górą 200,000,000 rs. i roboty mają być ukończone w r. 1902.

Poszukiwacze złota. Według nadchodzących do Londynu wiadomości, wbrew wszelkim ostrzeżeniom, napływ poszukiwaczy złota, którzy pragną w roku bieżącym jeszcze dostać się do Klondike, trwa w dalszym ciągu. (Patrz artykuł „Złote pola” w nr. 98 „Pracy” — Przepł. redakcyi). Codziennie wypływają z portów Oceanu Spokojnego na północ parowce, wypełnione ludźmi. Na pokładzie statków „Bristol” i „Islander”, które dn. 16 sierpnia opuściły Wiktoryę, stolicę wysp Vancouver, popłynęło nie mniej, niż 1,000 osób. Dzień przedtem parowiec „Utopia” zabrał 250 pasażerów, a tak samo zapelnione były parowce, wypływające z Seattle i San Francisco. Wielu poszukiwaczy złota wiezie ze sobą konie, psy i sanie, aby z ich pomocą pokonać główną przeszkodę, przedostać się przez wąwóz Chilcat. Tymczasem już teraz obozuje u wejścia do wąwozu kilka tysięcy osób, które nie mają widoków przebycia go w roku bieżącym. Doświadczeni ludzie utrzymują, że zaledwie jeden człowiek na 50 zdola się przedostać przez wąwóz i że tego „szczęśliwego” czeka z tamtej strony wąwozu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ciężki czas, albowiem brak jest łożysk i przewodników dla odnalezienia właściwej drogi wśród panującego tam chaosu potoków i jzior. Jestto tem smutniejsze, że grono kobiet i dziewcząt, opatowanych złotą gorączką, puściło się również w awanturczą podróż do nowej krainy złota. Za przykładem rządu amerykańskiego poszedł także kanadyjski i ogłosił również odezwę do poszukiwaczy złota, ostrzegającą, aby nikt się nie spodziewał, że łatwo jest dostać w Klondike odpowiednie miejsce, w którymby można z małym trudem poszukiwać złota. Małe też bardzo są widoki utrzymania pracy; zapłata za nią wysoka wprawdzie, ale popyt bardzo ograniczony. Zresztą rząd kanadyjski postanowił pobierać podatki od poszukiwaczy złota w Klondike; każdy „claim”, czyli kopalnia, który daje 500 dol. tygodniowo, ma płacić 100%, a taki, który daje 5,000 dol. — 200%. Odmowa zapłaty podatku lub oszustwo pociąga za sobą utratę „claim’a”.

Handel niewolnikami kwitnie w najlepszych w Afryce, pomimo wszelkich usiłowań rządów europejskich. Tak przynajmniej zapewnia Amerykanin, p. Heli Chatelaine, który był przez długie lata agentem Stanów Zjednoczonych w Loandzie. Z 200 milionów Afrykańczyków 50 milionów jest niewolnikami. Na wyspach Zanzibar i Pemba, administrowanych przez W. Brytanie, znajduje się 200,000 niewolników. Na każdego niewolnika, który przybywa na wybrzeże, przypada ośmiu zmarłych w drodze. Corocznie handlarze przemycają 7,000 niewolników do Zanzibaru i 11,000 do Arabii, 14,000 zatem, według powyższego obliczenia, umiera w drodze lub w miejscach, z których są sprowadzani. Głównymi handlarzami są mahometanie, ale nawet ukrócenie ich nadużyć nie wytepi niewolnictwa, które jest głównym żywiołem obecnych stosunków afrykańskich. Rodzice sprzedają swoje dzieci, sprzedawani są dłużnicy i przestępcy do niewoli, dziewczęta

często jeszcze przed urodzeniem kupowane są przez poligamistów. Niewolnicy zastępują monetę na olbrzymich przestrzeniach wewnątrz Afryki. Są oni zwierzętami pociągowymi, noszą bowiem kość słoniową, gumę i wosk na wybrzeża, a produkta europejskie do wnętrza kraju; są tragarzami karawan podróżnych europejskich, udających się w niezbadane strony. Wytepienie niewolnictwa w Afryce nastąpić może tylko przy całkowitem przekształceniu miejscowych warunków społecznych.

❦

Złote myśli.

Cnota jest zdrowiem duszy; istnieje tysiąc sposobów na zostanie dobrym, ale jest jeden tylko, aby być zdrowym.

Ci najwięcej potrzebują liitości, którzy są nielitościwymi względem słabszych od siebie.

Każdy ma trojakich przyjaciół: takich, co go kochają, takich, co sobie nic z niego nie robią i takich, co go nienawidzą.

❦

Wiadomości.

Czas jeszcze odnowić przedpłatę, gdyż każdy nowy abonent otrzyma pierwsze numera z bieżącego kwartalnika bezpłatnie i franko.

„Prace”

która zapisana jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86) **najwygodniej zamówić na poczcie.**

Przedpłata wynosi kwartalnie

☞ **tylko 1 markę.** ☜

Bezustannie będziemy ulepszać wszystkie działy pisma, stósownie do wymagań postępu czasu i starali się zaspokoić wszelkie słuszne życzenia Czytelników, a zaprowadzone w ostatnim czasie ilustracye w „Pracy” zamieszczać i nadal będziemy i sprawie tej szczególną poświęcimy troskę, pewni, że mozolne nasze i kosztowne wydawnictwo poprą szanowni Czytelnicy liczną przedpłatą.

Nową powieść zapowiedzianą rozpoczniemy drukować na początku nowego kwartału.

„Praca”, jako jedyny tygodnik, wychodzący w Wielkopolsce, zdobyła sobie już znaczny zastęp stałych przedpłacicieli, i jest pismem tak w kraju jak też na obczyźnie bardzo poczytnem i wskutek tego nadaje się bardzo do skutecznych ogłoszeń.

Życzliwych nam Czytelników upraszamy o łaskawe poparcie naszego pisma w gronie krewnych, przyjaciół i znajomych, zachęcając ich do liczej przedpłaty w interesie wspólnej sprawy.

Każdy, kto tylko zażąda, otrzyma bezpłatnie i franko kilka numerów „Pracy” na okaz.

Szanownych Czytelników prosimy usilnie o łaskawe rozdanie załączonych prospektów różowych pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

Za spokój duszy ś. p. Kornela Ujejskiego odbyły się w kościele farnym msze św. żałobne dn. 27 i 28 z. m.; pierwsza staraniem najruchliwszego z poznańskich Towarzystw, Towarzystwa »Stella«, druga staraniem »Czytelni dla kobiet«.

Na zakończenie jubileuszu męczeńskiej śmierci św. Wojciecha rozpoczną się uroczystości w Gnieźnie dnia 13 b. m. i trwać będą aż do dnia 20 t. m., w którym odbędzie się procesja z głową św. Patrona Polski. W niedzielę dnia 17 b. m. odprawi Naj. ks. Arcypasterz nabożeństwo pontyfikalne w kościele trzemeszeńskim, gdzie się także znajduje cenna relikwia św. Wojciecha, t. j. jego ręka. Spodziewać się należy licznych w tym czasie pielgrzymek, które winny się zgłaszać do ks. Sułtyskińskiego w Gnieźnie.

Znany zaszczytnie malarz-artysta i nauczyciel rysunków przy tutejszej szkole realnej p. Jaroczyński wstąpił z dniem 1 października rb. w stan spoczynku. Przy zakładzie był czynny od samego założenia zakładu, a więc przez 44 lata. Za wielkie zasługi, jakie położył jako malarz i nauczyciel rysunków, nadano mu tytuł profesora.

Kupno i sprzedaż. Folwark Rudę pod Zdunami nabył z oherzą od p. Gustawa Schuberta Bank Parcelacyjny w Poznaniu, Piekary 18, i zamierza tę własność rozparcelować w poniedziałek, dnia 4 października. — Panna Gabryela Sikorska z Bród nabyła od p. Wojtkowskiego folwark Alltrode (?) w powiecie chodzieskim w obszarze 250 mórg za 80,000 marek. **Szczęście** Boże młodej obywatelce! — **Dobra rycerskie Dębiny** alias **Dęby** w pow. toruńskim nabył za 365,000 marek hr. Skórzewski, zięć p. pośła Michała Szczanieckiego z Nawry w Prusach Zachodnich. — Pan Radziński z Mosiewicy nabył posiadłość p. Hilara z Linówca w powiecie starogardzkim w Prusach Zachodnich za 41,000 marek.

Kęszyce pod Ostrowem, do niedawna własność hr. Sokolnickiego, nabył hakatystowski Landbank berliński. Hr. Sokolnicki przed kilku tygodniami sprzedał ziemię kupcowi Krystellerowi ze Szląska — nowy nabywca nie długo gospodarzył! Tak się u nas pozbywa ziemię.

„Gaz. Ostrowska” pisze: Dowiadujemy się, że p. Karpiński sprzedał wieś swą **Węgrzynów** p. Dobrzyca komisji kolonizacyjnej. Jeżeli prawda — bardzo bolesne. — Majątek **Lopatki** (Braunsrode) w powiecie grudziądzkim w Prusach Zachodnich nabył rodak nasz p. Franciszek Wojnowski z rąk niemieckich za 335,000 marek.

Jeżyce. Mistrz szewski p. Kazimierz Juszczyński z Piaskowa pod Szamotułami kupił od gospodarza p. Józefa Waltra parcelę do budowy w tutejszym okręgu gminnym za 1200 marek. — Wdowa Helena Konieczna sprzedała swą posiadłość przy ulicy Kościelnej nr. 20 robotnikowi Marcinowi Stajkowskiemu za 1200 marek.

Swarzędz. Tow. rolnicze niemieckie powiatów obu poznańskich urządza w sobotę, dn. 9 października o godzinie 9 przegląd bydła, połączony z premiowaniem tych dostawionych okazów, które uznane będą jako najzdadniejsze do chowu.

Września. W miesiące naszym zostanie otwarty z dniem 1 listopada rb. zakład nauki mleczarstwa staraniem poznańskiej Izby rolniczej; zakład podejmować się nadto będzie rewizyi spółkowych i prywatnych mleczarni, badać będzie plany nowych mleczarni, udzielać będzie porady z dziedziny mleczarstwa i dokonywać będzie chemicznego badania mleka i śmietany co do zawartości tłuszczu.

Gołańcz. Dobra rycerskie Rudnicz, należące do szczecińskiego banku hipotecznego, mają być rozparcelowane.

Ze Średzkiego. Rolnicy nie są zadowoleni z omlotu zboża, nadto skutkiem ostatnich deszczów ucierpiał sprzęt siana i konicznyn a ziemniaki poczęły gnić. Zwózka buraków cukrowych i ziemniaków bardzo utrudniona, bo hele grzęzną w rozmokłej ziemi po osie.

Miłosław. W Starkówcu pod Miłosławiem, w dawnym dworze dominialnym, zakłada dzisiejsza właścicielka, komisya kolonizacyjna pruska, zakład dyakonisek protestanckich, a o las starkowiecki i resztę folwarku układa się Kennemann w celu kupna.

Inowrocław. Wieś Jacewo kupił pan Hugo Rath za 450,000 marek.

Ruch w Towarzystwach.

Sejmik Związku Spółek zarobkowych na Poznańskie i Prusy Zachodnie odbył się dn. 29 i 30-go września w Miłosławiu na sali Bazarowej.

Ze spółki nasze pod obecnym Patronatem rozwijają się rzeczywiście bardzo pięknie, na to dowodem sprawozdanie Patronatu. Pominawszy już fakt pomyślny, że liczba spółek wzrosła o osm, i że wynosi już 101, a liczba członków podniosła się z 32,282 na 35,987 a więc o 3700 to jakąż radością prężyć musi serce każdego obywatela wiadomość, iż kapitał złożony w spółkach podniósł się w roku 1896 o przeszło **3 miliony marek**, bo z 22,251,000 w r. 1895 na **25,346,000**.

Jest to wzrost, jakiego dotychczas jeszcze żaden rok nie wykazywał!!

I tak udziały członków podniosły się z 2,928,000 na 4,483,000 a więc o przeszło **Pół miliona**; depozyta. — owe oszczędności ogółu naszego, z 16,774,000 na 19,078,000 a więc o **2,300,000**, a fundusz rezerwowy z 1,548,000 na 1,754,000, czyli o przeszło **200,000**.

Ten nadzwyczajny w ostatnim roku wzrost kapitałów w Spółkach jest chyba najlepszym dowodem, że gospodarka w Spółkach musi być zupełnie prawidłową i dobrą, i że w skutek tego wzrasta i zaufanie ogółu do Spółek naszych.

Nowe spółki powstały za bezpośrednim staraniem ks. Patrona w Barcinie, Chmielnie, Lutowie, Mchach, Mieszkowie, Sulmierzyczach, a w porozumieniu z Patronem: w Gnieźnie (Lech), w Ostrowie (Bank kupiecki), w Tucholi (Spółka koszykarska), na własną rękę zaś oprócz drugiej pożyczkowej Spółki w Jaraczewie, Spółki parcelacyjnej.

Towarzystwo Młodych Przemysłowców w Poznaniu obchodziło w ubiegłą niedzielę 23-cią rocznicę założenia wspólnym wieczorkiem na sali p. Adamskiego. Program obchodu był urozmaicony; między innymi miał odbyć p. dr. Drobnik na temat: Kolonie lecznicze.

Na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa miał odczyt sekretarz Towarzystwa p. Ostant na temat: „O koniecznej potrzebie rozwoju przemysłu domowego“.

Z Kamienicy (Chemnitz) w Saksonii. W lipcu rb. zawiązanem tu zostało towarzystwo pod nazwą: „Polskie stowarzyszenie Jedności“. — Prezesem jest p. **Edward Neumann** (Sacherstr. 2. II), zastępcą p. **Roman Werner** (Theaterstr. 96/97. II), skarbnikiem p. **Feliks**

Degórski (Schillerplatz 15. II), sekretarzem p. **Wacław Rassumowski** (Annabergstr. 3 III). — Posiedzenia odbywają się co *sobotę*, o 9 tej wieczorem w restauracji „Lorely“ Moritzstrasse, Kamienica (Chemnitz). Zwracamy na wiadomość tę uwagę rodaków, których właśnie o tym czasie najwięcej z Księstwa przybywa.

Szczecin na Pomorzu. Z dniem 4 go lipca br. zostało tutaj założone Tow. Przemysłowe, którego dotychczas w Szczecinie brakowało. Członków zapisało się zaraz 14, lecz mamy nadzieję, iż przez rok istnienia Tow. się znacznie powiększy, ponieważ już dzisiaj liczy 28 członków.

Obraliśmy także do zarządu bibliotekarza, lecz biblioteki nie mamy; więc udajemy się z prośbą do wszystkich Tow. Przemysłowych, aby nam chociaż starych książek na niejakiś czas odstąpiły, abyśmy się mogli wzajemnie dalej pouczać. Dziękujemy już naprzód wszystkim tym, którzy o nas pamiętać będą, staropolskiem »Bóg zapłać!«

Skoby miał ochotę przyjść nam w pomoc w tym względzie i książki ofiarować, prosimy przesyłać je na ręce prezesa pana I. Wikarskiego, Szczecin, Falkenwalderstr. 5.

I. Wikarski,
przewodniczący.

Franciszek Maj,
sekretarz.

Kronika żałobna.

Ś. p. książdz prałat, dziekan i proboszcz **Franciszek Sadowski** z Siedlemina pod Jarocinem umarł dnia 25 września.

Ś. p. ks. Sadowski urodził się 1825 r. na kapłana wyświęcony został w 1850 r., a od 1853 r. był proboszczem w Siedleminie.

Zmarły służył całą duszą i kościołowi i narodowi. Cześć jego pamięć! Spokój Jego duszy!

Obrona prawna.

Ważne dla przemysłowców.

Pryncypał ma nie tylko obowiązek pozwolić uczniom swym na uczeszczenie do szkół uzupełniających, ale powinien także czuwać nad tem, aby uczniowie bez przeszkody na lekcy ucześnieć mogli. Tak zawyrokował świeżo w pewnej sprawie „kamergericht“ i skazał pryncypała na dotkliwą karę za to, że uczniowie jego zmudzili kilka godzin w szkole uzupełniającej.

Zdarza się nieraz, iż handle na odpłatę przysyłają swych ludzi do mieszkań odbiorców, po zalegającą zapłatę. Tacy kasyerzy handli na odpłatę sądzą, iż mogą w domu odbiorcy tak długo pozostać, aż tenże należytość zapłaci — chociażby zostali wezwani do opuszczenia domu, albowiem w warunkach kupna jest powiedziane, że im takie prawo przysługuje. Sąd uznał jednak, iż taka prywatna ugodza nie zmienia ważności prawa, więc też każdy kasyer, wezwany do opuszczenia domu, winien to uczynić, inaczej winnym się staje naruszenia spokoju domowego. Sąd powiada bowiem, że handle na odpłatę, tak jak osoby prywatne, winne dochodzić swego prawa na drodze sądowej, jeżeli dłużnik wzbrania się uiścić z długu.

Znaczków zabezpieczenia na starość i niemoc nie wolno odklejać z książeczki i sprzedawać. Nabywający takie znaczniki narażają się na karę dotkliwą.

Chleb dla swoich.

Rodak, szewc z zawodu, znajdzie pewne utrzymanie w jednym z większych miast na prowincyi. Szczegółów udzieli Redakcyja „Gońca Wielkopolskiego“.

W mieście (w Pr. Zachodnich) z ludnością na pół a otoczeniem prawie czysto poskiem może się osiedlić kilku **przemysłowców, Polaków-katolików**. Potrzebni są mianowicie: 1) *blacharz*, z małym kapitałem, któryby mógł zarazem utrzymywać skład narzędzi kuchennych i żelaznych, 2) *fachowo wykształcony kuśnierz na futra*, 3) *szklarz*, któryby prowadził równocześnie handel dewocyjny. Przemysłowcy ci, ludzie zdolni i zapatrzeni w pewien fundusz, mogliby tam robić dobre interesy, ponieważ okolica jest zamożna a brak przemysłowców polsko-katolickich. Bliższych wiadomości udzieli Redakcyja „Dz. Berlińskiego“, Berlin Karlstr. 20a.

Apteczka domowa.

Na rany, pochodzące od sparzenia lub spieczenia, co się zbyt często zdarza rękodzielnikom pracującym przy ogniu, palaczom, maszynistom i t. d., prostym, łatwym do zastosowania, a dobrym środkiem jest woda solą kuchenną mocno nasyciona. Po rozpuszczeniu soli w wodzie, moczy się w niej członki oparzone, lub robi okłady ze słonej wody.

Rady i wskazówki.

Chodowanie ryb w stanie świeżym. Świeżo złowioną rybę otworzyć i sprawić, mięso posypać mialko tłuczonym cukrem i ułożyć na płask w naczyniu na dwa lub trzy dni, tak, aby cukier dobrze przeniknął całe mięso. Tak przygotowane ryby dają się w chłodnym miejscu długo przechować, nie tracąc nic na świeżości i na smaku.

Ochrona od rdzy żelaza i stali. Żelazne lub stalowe przedmioty zanurzyć w wodzie wapiennej, a potem osuszyć. Zabezpiecza to od rdzy na czas dosyć długi.

Informacye, dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Kupiec, p. Tomasz Jakubowski z Poznania i panna Konstancya Bartol. — Cukiernik, p. Wojciech Dziembowski i panna Walerya Rudzka, oboje z Poznania. — Kupiec, p. Stanisław Jabłoński i panna Marta Błażejczyk, oboje z Krotoszyńska. — Lekarz praktyczny, p. dr. Józef Pomorski z Poznania i panna Irena Antonina Korycka. — Technik-budowniczy, p. Jakób Władysław Pluciński i żona Marya z domu Kowalska z Ostrowa. — Rolnik, p. Jan Majewski z Chrzastowa w powiecie śremskim i panna Maryanna Krajewska z Połwicy pod Zaniemyślem. — Mistrz krawiecki, p. Ludwik Kulczak z Wrześni i żona Zofia z domu Orcholska. — Mistrz piekarski, p. Kazimierz Rudnicki z Nakła i wdowa Anastazyja Borzeskowska z domu Katlewska.

Konkursy.

Zniesiono konkursy nad majątkiem: 1) kupca p. Franciszka Nowaka w Poznaniu, 2) kupca p. Maurycego Barucha w Poznaniu, 3) kupca p. Wawrzyna Bloszyka w Śremie, obecnie w Kórniku.

W konkursie nad majątkiem kupca Dawida Friedländera ma nastąpić częściowy podział masy. Do dyspozycji jest 22,000 marek, a zgłoszone pretensje wynoszące 129,051 mk. 40 fen.

Do sądu okręgowego w Trzemesznie oddano wniosek o ogłoszenie konkursu nad majątkiem kupca p. Juliusza Büttnera w Trzemesznie. Sąd wniosek przyjął na mocy § 98 ordynacji konkursowej.

Submisye.

Submisya na dostawę artykułów spożywczych dla III-go batalionu pułku piechoty nr. 46 w Poznaniu rozpisala komisya gospodarza na czas od 1. 11. rb. do 1. 11. 1898 r. Oferty zapieczętowane z napisem „Menage-Lieferung“ należy składać do dnia 10 października w biurze urzędowym przy ulicy Półwiejskiej nr. 34, gdzie dowiedzieć się można o warunkach submisyjnych. Adres urzędowy jest taki: „Menage-Kommission des III Batl. Inf.-Regts. Graf Kirchbach (1. Niederschl.) Nr. 46.“

Subhasty.

Nieruchomość kołodzieja i oberzysty, p. Antoniego Lisińskiego, położona w Brodach pod nr. 64 dnia 9-go października w sądzie okręgowym w Pniewach. — Nieruchomość rolnika, p. Franciszka Głównego, położona w Konarskiem pod nr. 8 (pod Bninem) dnia 21-go października w sądzie okręgowym w Śremie. — Nieruchomość p. Stanisława Złobńskiego, położona w Łęce mroczeńskiej pod nr. 32, dnia 7 października w sądzie okręgowym w Kępnie. — Nieruchomość p. Tomasza Wojciechowskiego, położona w Wierzbnie pod nr. 16, dnia 19 października w sądzie okręgowym w Odolanowie. — Nieruchomość młynarza, p. Józefa Grzybowskiego, położona w Borku pod nr. 89, dnia 10 listopada w sądzie okręgowym w Kozminie.

Aukcja.

Aukcje 176 koni wojskowych odbędą się na podwórzu koszar batalionu trenu w Poznaniu pod Bartoldowem w dniach 13-go i 27-go października, począwszy od godz. 8 z rana.

Wystawy.

Wystawa jubileuszowa, przygotowywana na rok przyszły w Wiedniu, ma już program zupełnie ustalony. Urządzoną będzie w dawnej rotundzie, przedstawiającej obszar 45,000 metrów kwadratowych i przytykających do niej częściach Prateru w obszarze 200,000 metrów kwadratowych, zajmie zatem przestrzeń około 25 hektarów.

Główne działy wystawy będą następujące: 1. Dział przemysłowy, 2. Dział różniczo-leśny, 3. Austriacki dział dobroczynności, 4. Dział wychowania dzieci, 5. Specjalna wystawa piekarska, 6. Urania (zakład popularno-naukowy).

Otwarcie wystawy jest naznaczone na dzień 7-go maja, a zamknięcie na dzień 9-go października 1898 r.

Rolnictwo.

Uprawa roli jest głównym zadaniem rolnika. Wszelkie pomysły, dotyczące się zarządu płodozmianu, inwentarza, fabryk i ma-

chin, choćby były trafne i szczęśliwe, spełzną na niczem, jeżeli nie mają oparcia na dobrej uprawie roli. Nie kalendarz, ale usposobienie roli i powietrza powinny przepisywać czas uprawy. Gospodarz więc powinien nade wszystko znać cel każdej uprawy, a w miarę powietrza i usposobienia roli będzie umiał oznaczyć sposób uprawy.

Gospodarstwo.

Aby zmarznięte ziemniaki (kartofle) uchronić od zepsucia i mieć z nich użytek, należy rozłożyć je miałko na świeżem powietrzu, a na wyniosłem miejscu, choć na murawie lub w ogrodzie. Mróz, mgły, a nareszcie wiosenne powietrze wysuszą zupełnie ziemniaki; one się zeschną, wszelka wodność z nich astąpi i tylko mąka w nich zostanie. Tych ziemniaków użyć można na paszę dla koni, bydła i owiec. Ziemniaki zmarznięte, leżąc na gromadzie, wnet gniją.

Ogrodnictwo.

— *Przeciw glistom ziemnym* najlepszym środkiem są liście orzechów włoskich. N moczywszy pewną ilość liści tych w wodzie, polewa się nią ziemia, a wtedy glisty wyłazą z niej z największą szybkością i łatwo wytepić się dają. Sok liści orzechowych włoskich, a nawet cały krzew wstrętny jest wszelkiemu robactwu tak dalece, że nie posiadają go nigdy żadne owady. Kaltenbach zalicza do nieprzyjaciół orzechów włoskich 3 tylko gatunki chrząszczów, 8 gatunków motyli i 4 gatunki pluskiew. Środek więc wyżej wymieniony służyć zapewne będzie nie tylko przeciw glistom, ale i wszelkim innym szkodliwym owadom.

Pszczelnictwo.

— *Praca pszczół.* Jeden z botaników niemieckich podaje ciekawe uwagi o pracy pszczół. Przygotowując pszczoły w końcu sierpnia do zimowli, ważył ul po ulu, ażeby wypródkować, jaka też była praca jego piętnastu ulów, od wiosny obserwowanych. Na wiosnę w kwietniu ważyły brutto 276 kg., w końcu sierpnia ważyły 466 kg., wykazały więc przybytek na wadze wynoszący 190 kg. W ciągu lata wybrał z tych ulów 125 kg. miodu, oprócz tego wydały one 10 rojów, które w końcu sierpnia jednocześnie z tamtymi ważone, wykazały wagę 130 kg., co razem czyni przybytku 445 kg. Ile pszczoły przyniosły wody, pyłku kwiatowego i miodu i ile zużyły na swe utrzymanie, trudno ściśle obliczyć, ale przypuszcza, że przynosi wagę przybytku dającego się skontrolować. Jeżeli się do tego uwzględni, że słodki sok z kwiatów zbierany, zawiera co najmniej 50 proc. zbytek wody, która się musi ulotnić, żeby z niego powstał miód i że pożytek zbierały z co najmniej 0,5 kilometrowego oddalenia, natenczas można mieć wyobrażenie, jaki ogrom pracy kosztował miód z ulów ujęty i w nich zawarty.

Zwierzęta.

— *Niszczenie robactwa u cieląt.* *zrebati i suth.* Dr. Siebert z Aschersleben donosi w „Berliner Thierärztlichen Wochenschrift“, że z niewątpliwym i szybkim skutkiem używa w tym celu od lat już wielu następującego środka: Wlewa on do fiaski w równych częściach oleju skalnego i oleju lnianego, a po należytem wymieszaniu przez silne wstrząsanie, macza w nim płatek wełniany, smaruje i wyciera nim dokładnie miejsca, na których znajduje się robactwo. Postępowanie to powtórzyć należy po kilku dniach, a

wszystko robactwo wyginie. Miejsca te obmyć należy ostatecznie ciepłą wodą z mydłem.

Płactwo.

— *Pomnożenie produkcji jaj.* Chcąc powiększyć produkcją jaj, należy wszystkie czteroletnie kury gotować na smaczne rosoly lub piec na dobre pieczenie. Kura trzyletnia daje najwięcej jaj — w czwartym roku niesie jaj o wiele mniej, ale są trochę większe. Kura zaś pięcioletnia nie opłaca się zupełnie za to co zje. Trzeba więc trzymać kury młode, a stare zjadać, wtedy jaj będzie dużo.

Sprawozdania handlowe.

CHMIEL

Poznań, 30 września. Obroty chmielem były w ostatnim czasie nieznaczne w skutek słabej tendencji dominującej na rynkach bawarskich i czeskich. Nabywcy zamiejscowi poszukują jedynie produktu wyborowego gatunku, za który ofiarują niskie ceny. Średnimi gatunkami i pośledniemi wcale nie ma obrotów. Producenci są gotowi do możliwych ustępstw, dzięki pomyślnemu rezultatowi zbiorów. Płacono za produkt prima do 105 m., za średni 80—85 m. i za pośledni co najwyżej 55 marek. Z Królestwa Polskiego zaofiarowano znaczne partje dobrego produktu z prób, ale żądane ceny były zbyt wysokie.

Nowy Tomysł, 30 września. Na rynku chmielu tendencja osłabła. Handlujący chmielem ofiarują tanie ceny, mianowicie 70—90 m. za 50 kilo; producenci wstrzymują się jeszcze od sprzedaży.

Stan zasiewów w Prusiech. Według urzędowego sprawozdania pruskiego biura statystycznego był w połowie września stan zasiewów następujący: pszenica ozima 2,5, orkisz ozimy 2,1, żyto ozime 2,8, koniczyna 2,3.

Uwaga. 1 oznacza stan bardzo dobry, 2 — dobry, 3 — średni, 4 — lichej, 5 — bardzo zły.

Omloty próbne tegorocznych zbiorów wykazują następującą wydajność w kilogramach z hektara: Żyto ozime daje 1,342 kilo wobec 1,403 w r. z., żyto jare 816 wobec 860 w r. z. Przy zbiorze średnim przeciętna liczba kilogr. z hektara wynosi 1,270.

Zboże na rynkach międzynarodowych. — Horoskopy przebiegu handlowej kampanii tegorocznej są w dalszym ciągu pomyślne; zapotrzebowanie, jak wykazują dane statystyczne, będzie tak znaczne, że ceny zdołają się utrzymać na korzystnym poziomie. Mimo to tendencja w ciągu okresu sprawozdawczego osłabła nieco, co wszakże nie powinno być uważane za objaw niepokojący.

Obrzymie dowozy farmerów w Ameryce północnej wywołały osłabienie na rynkach transatlantyckich. Na rynki wewnętrzne dostawiono 969,000 kwr. wobec 776,000 kwr. w tygodniu poprzednim. Zapasy skontrolowane wzrosły o 949,000 buszli i wynosiły 15,766,000 buszli. W Nowym Jorku ceny spadły o 4 i ćwierć do 4 i pół c., a w Chicago o 4 do 3 i pół c. W Argentynie szarańcza szery swoją niszczącą gospodarkę w 30-tu okręgach, co oczywiście niewęcej dobre widoki. Wysyłki nie było. W Australii susza i zimno wpłynęły szkodliwie na stan zasiewów. W Indjach Wschodnich, zwłaszcza w Pendżabie, nadzieje zbiorów są świetne, dzięki obfitym opadom atmosferycznym.

W Europie rynki austro-węgierskie utrzymały tendencją dosyć mocną. We Wiedniu ceny cokolwiek spadły, w Peszce natomiast podniosły się o 10—15 kr. We Francji roboty w polu postępowały przy sprzyjającej pogodzie, skutkiem tego dowóz na rynki słaby, a ceny mocne. W Paryżu notowania maki i pszenicy prawie bez zmiany. W Anglii przebieg handlu pszenicą spokojny; wpływ Ameryki nie oddział osłabiająco, albowiem nie zaopatrzono się jeszcze na pokrycie obrzymiego zapotrzebowania kraju. Na 196 rynkach skontrolowanych cena przeciętna wynosiła 33 sz. 1 p. W Holandii ceny dobre, zbyt łatwy, dowóz na rynki wewnętrzne obfity. W Belgii notowano nieco niżej. W Niemczech osłabienie rynku wszechświatowego niewielki wywarło wpływ. Na rynku berlińskim obrót był umiarkowany; usposobienie początkowo słabe, ku końcowi się wzmocniło.

Humorystyka.

Wyleczeni!

Serce się raduje w człeku!
Oto licznie, tłumną zgają,
Poznaniacy wyleczeni
Z zagranicy powracają.

Pani Izie aż z radości
Oko się jak brylant pali,
Bo jej Niemcy w górach Harcu
Bardzo, bardzo wymyślali.

Kamienicznik też rad wielce,
Bardzo bowiem mu na sercu,
Że go grono hakatystów
Poniżało wciąż w Reinerzu.

I pan kupiec od uciechy
Mówić prawie nie jest w stanie:
Bardzo zdarli zeń prusacy
Za kuracją w Akwizgranie.

Więc z tej racyi wielka radość
W duszach nam się dzisiaj pleni:
Bracia nasi — z manii badów
Są już chyba wyleczeni?

W redakcyi.

— W poemacie pańskim znalazłem wczoraj
dużo dobrych rzeczy.
— Czyż być może?
Bez wątpienia. Rzeźnik zawinął mi w niego
rozmaite wędliny.

Historia międzynarodowa.

Pan Barnaba, Polak z kości,
Już na roli z bogacem,
Do swych dzieci aż z Berlina
Posprowadzał mądre bony.

I chcąc, aby syn Ignalek
Nie nabijał w zbytkach guza,
Przyjął mu do towarzystwa
Guwenera, echt Francuza.

Wiedząc, iż z hodowli trzody
Można pieniąż ubić szparko,
Do obory wziął matronę,
Która była ot, Szwajcarką.

Pan Barnaba miał stadninę,
(Koni pięknych liczna klika)
Na dozórce przeto stajni
Wezwał z Anglii wprost — Anglika.

A że pani wymawiała
W śpiewie błędnie pewne głoski,
Więc ją śpiewu zaczął uczyć
Wzięty z Rzymu aż mistrz włoski.

Tym sposobem pan Barnaba,
Bez żadnego tarcia głowy,
W swoim dworze utrzymywał
Zjazd wciąż międzynarodowy.

Przestrzegali go sąsiedzi,
Że zjazd dobra mu pochłonie,
Że zadłuży się, przepadnie
W darmozjadów liczem gronie.

Pan Barnaba dla grzeczności
Wciąż przyznawał radom racyę,
Lecz bez przerwy ciągle dalej
Cudzoziemskie wspierał nacye.

I o jednej tylko nacyi
Nie pamiętał mąż rzeczony,
W kącie siedział Srul arendarz,
Człowiek skromny, choć uczony.

Ten, skulony, skromny, cichy,
Patrzał na te różne nacye,
Aż gdy przyszedł czas nareszcie:
„Kupiał wiesz na licytacji.”

Dziś już całym jest dziedzicem,
Wielkopańskie ma narowy,
Rad, że kupno mu ułatwił
„Koncert“ międzynarodowy.

Westchnienie młodej wdówki.

— Nieznośni są ci mężczyźni! Jedni nie
śmiają zrobić pierwszego kroku, a inni chcie-
liby zaraz zrobić ostatni.

Ulica czy sport?

Młódz sportowa, mimo krzyków
I napomnień ostrych tyłu,
Na rowerach wciąż po mieście
Jeździ sobie w desabilu.

W dzionek biały po ulicach
Mknie „dojrzały“ człek i młodzian,
Tak odziany, iż się zdaje,
Że zupełnie nie jest odzian.

Ten odsłania nagie ramię,
Ów ma plecy nieokryte.
Inny zaśię do kompanii
Wziął ze sobą też kobietę.

Poznań już w sport się zamienia,
Co malarzy wciąż weseli,
Że bezpłatnie dzisiaj mają
I modelki i modeli.

Jeno marszczy się publiczność
I złorzeczy wciąż cykliscie:
— Oj, zanadto już wyraźnie
Ze swym sportem się wściekliście!

Bojaźliwa.

— Panna Kasia musi mieć okrutnego
boja.
— A locego?
— Bo panna Kasia nigdy nie idzie na
targ bez meżkiej eskorty.

Pomiędzy dziećmi.

— A mój tata ma łaskę z galką!
— A mój z hacykiem.
— A u nas bywa komornik!
— A do nas, jak tatusia niema w do-
mu, przychodzi pan Alfred z cukielkami.
— A moja mamusia cyta romansy!
— A moja mama siama lubi lomansy
i tata się za to na nią gniewa, aha!

Antypatya.

On: Czegoż ten stary hrabia chciał od
ciebie?

Ona: Prosił mnie, abym czytała w księ-
dze jego serca.

On: A cóż ty na to?

Ona: Odpowiedziałam mu, że nie lubię
starych dzieł i to jeszcze w osłą skórę
oprawnych.

TELEGRAMY.

Wiedeń.

Podły Niemiec w parlamencie
Robi karczmę, drugich plami,
A w dodatku „Wilka“ w prezencie
Badeniego w ramię rani.

Berlin.

Jeden Bülow dotąd dawał
Swe usługi,
Teraz jest znów (to nie kawał!)
Bülow drugi.
A gdy znajdą gdzie trzeciego
Wśród tych łowów,
Łodzie rządu wnet przebiegą
W kurs Bülowów.

Londyn.

Anglia, co dawne straciła szczęście
I zniknął humor jej złoty,
Trenuje dzisiaj swe silne pięście,
Bo w Indyach wielkie kłopoty.
Więc Anglia, zwykle w słowach ostrożna,
Żali się dzisiaj najrzeczniej,
Że wrogom nigdy wierzyć nie można,
Lecz i druhowie niepewni.

Ateny.

Grecya, która w płaczu
Smutne robi minki,
Na spłatę haraczu
Oddaje rodzyński.
I mówi w rozpacy
Do swych druhów ligi:
Wolałabym raczej
Oddać na to... figi!

Sofia.

Żle tu być ministrem
I po mieście chodzić,
Żle chłopięciem bystrem
Tutaj się urodzić.
Lecz najniezawodniej
Gorszem nadewszystko,
W owem mieście zbrodni
Zostać... szansonistką.



S. Dekiert i Spł.

(właściciel: Stanisław Dekiert.)

Poznań, ul. Wrocławska narożnik St. Rynku Nr. 60.

Specjalny skład

porcelany, fajansu, szkła, lamp stołowych, wiszących, kuchennych, pajaków.